

Romanowa



ELIZA ORZESZKOWA

Romanowa

Więc i ta nawet kobieta miała kiedyś nad głową błękit wiosenny, a w sercu słońce szczęścia! Więc i takie nawet pylinki ludzkości, malutkie i szare, posiadają wspomnienia swe, o których z głośnym, rubasznym śmiechem mówią dopóty, dopóki w oku ich nie zakręci się łza. Proszę! Ktoby się był spodziewał, że ta Romanowa wiodła kiedyś życie szczęśliwe i wesołe, któremu nawet nie brakowało odrobiny poezji. Ona i poezya! Dziwny związek dwu sprzecznych z sobą składników, który, aby w retorcji życia móc dostrzec, trzeba chyba oko w drobnowidz uzbroić.

Znałam ją już od lat kilku, niemniej, gdy opowiadała mi przeszłość swoją, przypatrywałam się bacznie i ciekawie całej powierzchowności jej, a szczególnie grze zmarszczek jej twarzy. Jakkolwiek od lat już kilkunastu przebywała w mieście, nie przyswoiła sobie nigdy całkowitego ubrania miejskiego. Posiadała sztukę wyszukiwania na rynkach miejskich owych spodnic grubych i sztywnych, które z farbowanych na barwy różne lnu i konopi tkają na krośnach swych kobiety wiejskie, a które w języku miejscowym noszą nazwę *samodziału*. W *samodziałowej* zatem spódnicy, sztywnej i mieniającej się czerwonymi i sinymi pręgi, w grubym i ciężkim obuwiu na ogromnych stopach, w kaftanie pomiejsku już nieco skrojonym i perkalowej, kwiecistej chustce powiejsku znowu zawiązanej na głowie w ten sposób, że tworzyła czepek ukazujący z przodu dwa pasma siwiejących włosów, stała przede mną rozgadana, śmiejąca się, szczęśliwa tem, że pozwolono jej gadać... gadać... gadać. Była może kiedyś przystojną, ale teraz, twarz jej z ciemną skórą, czołem wąskim i pomarszczonym, z pomarszczonymi policzkami i zwiędłymi ustami, przypominała zgnicioną kartę starego żółtkłego papieru. Mały zadarty nos rzucał na twarz tę wyraz głupowatej trochę wesołości, a siwe, małe oczy, zpod gęstych wypukłych brwi błyszczące były i bardzo żywe. Ręce jej objawiały życie spędzone w ciężkiej i nieustannej pracy. Zdawała na nie patrząc, można było mniemać, że okrywały je rękawiczki, tego odcienia orzechowej barwy, która nosi nazwę *koloru Bismark*. Były one dziwnie grube w dłoniach, o węzłowatych palcach, wiecznie poznaczone czarnymi i czerwonymi bliznami, świadczącymi o częstym ich stykaniu się z ogniem i kipiętkiem. Ręce te u piersi splótłszy i siwymi oczyma błyskając, opowiadała.

— *Bywało*, proszę pani, zimową porą, jak go *smotrytiel* po siano posyła, założy do sań parę koni, do dyszła dzwonek przywiąże... i woła na mnie: „Ewka! chodź! a żywo! razem pojedziem!” *Smotrytiel* czasem z sieni krzyczy: „Roman! a poco ci ten dzwonek?” „Żeby wilki w lesie nie napadli” — odpowiada. — Ale ja wiedziałam, że to wcale nie dla wilków, tylko dlatego, że ja strasznie lubiłam z dzwonkiem pocztowym jeździć. Drugiemu możeby i nie pozwolili żonki brać z sobą, ale jemu co innego. Drugiego takiego pocztyliona na żadnej *stancy* (stacy) od naszej aż do samego Wilna nie było. Najlepszą czwórkę koni jemu zawsze dawali. Kiedy gubernator albo jaki wielki generał przejeżdżał, nikt go nie wiozł tylko Roman. Kiedy pan jaki przyjeżdżał, to, *bywało*, *smotrytiela* prosił: „tylkoż Romana mnie dajcie!” Bo to, proszę pani, wysoki był, *piękny*, jak dąb męczyzna, brunet taki, jakby jemu kto włosy i wąsy smołą posmarował, silny w rękę taki, że niech Pan Bóg broni, i niepijący. Wódki na Wielkanoc chyba pokosztuje, albo czasem piwa szklankę wypije, ale nikt go nigdy pijanego, tak jak innych, nie widział. Konie lubił jak dzieci; po całych dniach, *bywało*, to czyści zwierzęta te, to karmi, to poi, a kiedy nic już koło nich do roboty nie ma, to tak sobie przy nich w przeorynie stanie, grzywy im głaszcząc i gada do nich, jak do ludzi... Czasem i mnie od roboty odwoła: „Ewka! a chodźno tu!” Co robić? choć od gotowania albo od balii odejść, a do stajni iść. On mnie za rękę

i do przeoryny ciągnie. „Patrzajno — mówi — jakie u tej bestyi oczy mądre!” A koń patrzy się na niego, jak człowiek, i pysk mu na ramieniu kładzie, jak pies. „Przynieśno mu kawałek chleba” — mówi. — Pójdę, *bywało*, do chaty i przyniosę. A co robić? Kiedy on tak te zwierzęta lubił. Stoim tedy w przeorynie, on z jednej strony konia, ja z drugiej. „Daj mu chleb sama” — mówi. — Daję. Kota tam w stajni trzymali, takiego wielkiego, burego, co, *bywało*, jak zobaczy chleb w ludzkim ręku, z góry po drabinie złazi, na źłobie końskim siada, miauczy i w oczy patrzy. „Dajże *kryszkę* (troszkę) i *kotu*”. — mówi. — Ja troszkę chleba to *koniu* dam, to *kotu* i śmieję się, jak waryatka, a on nie śmieje się, tylko to na mnie, to na te bestye patrzy i taki szczęśliwy, że aż mu oczy błyszczą. Inne *pocztyliony* klóca się, *bywało*, na dziedzińcu, albo w karczmie piją, albo biją się w swoich chatach z żonkami, a on ciągle tylko mnieby przy sobie trzymał i swoje konie pieścił... Strach, jak on te bestye lubił...

I ją śnać lubił on bardzo, a ona wiedziała i pamiętała o tem, tylko mówić nie chciała, albo nie mogła. Pewniej, że nie mogła; przygarbiła się trochę, na wąskim jej czole zmarszczki poruszyły się jak fale, żółte powieki mrógnęły kilka razy prędko... prędko...

— Ale cóż tam było wtedy, jakeście saniami razem po siano jeździli?...

Wyprostowała się, wilgotne oczy jej błysnęły, zaczęła znowu śmiać się.

— Czystyto śmiech był, proszę pani... cha, cha, cha, cha... Parę koni, *bywało*, założy, tłustych, wykarmionych, jak szkło błyszczących, dzwonek do dyszła przywiąże i krzyczy; „Ewka! chodźno tu, a żywo!” Ja na to, jak na lato! *Cap, lap*, chustkę na głowę, przed chatę wylatuję i starej Kaśki wołam, żeby dziecko i strawy gotującej się dopilnowała...

— A kóżto była ta Kaśka?

— Wdowa po kowalu, proszę pani, taka stareńka... stareńka i bardzo biedna... Jak jej mąż umarł, przy córce zameżnej, co za chłopca wyszła, mieszkała, aż zięć z chaty wypędził... do syna kowala mieszkać poszła, a syn rozpił się, w świat poszedł i zginął bez *wiadomości żadnej*... starą matkę porzuciwszy... Pan Bóg wie co z nim stało się... Czy zmarł gdzie pod płotem, zwyczajnie jak pijak, czy może i okradł kogo, to go do turmy wzięli i daleko zaszali... To ta Kaśka, zwyczajnie, podziać się gdzie nie mając, na naszej *stancyi* żyła... Smotrytielowi i pocztylionowym żonkom posługiwała, a latem krowy paska... Oj, pani moja... biednaż ta Kaśka była na swoje stare lata, biedna!

Tu rękę podniosła, policzek na dłoni wsparła a na twarzy jej odmalowało się takie przerażenie, że zmarszczki jej nawet jakby w niem ostupały. O przyczynie przerażenia tego, które ją ogarnęło, wiedziałam dobrze.

— Pewno w tej chwili o Michałku swoim pomyślałaś?

Twierdząco wstrząsnęła głową.

— Moja droga pani, moja najdroższa pani, co z nim będzie? co z nim stanie się? Czy on tak samo zmarnuje się, jak ten syn Kaśki?...

Mówiąc to patrzała mi w oczy, a wzrok jej nieruchomy, wśród znieruchomiałych zmarszczek twarzy, tak stawał się przenikliwym, jakby pragnęła do wnętrza duszy mojej zajrzeć i dowiedzieć się, co ja o tem myślę. Czy Michałek jej tak samo zmarnuje się, jak ten syn Kaśki? Pragnęłam odpowiedzieć przecząco, ale nie mogłam. Wołałam zwrócić ją znowu ku jej przeszłości.

— Więc wołałaś starej Kaśki, aby ci dziecka i strawy dopilnowała...

Jak u wszystkich natur pierwotnych, wrażenia i humory najsprzeczniesze, budziły się w niej i zastępowały wzajem, z szybkością dla ludzi ucywilizowanych niepojętą. Słoneczne wspomnienie rzuciło znowu na twarz jej żywą grę rysów i zmarszczek. Znowu, śmiejąc się, mówić zaczęła:

— Taki, proszę pani, z tego Romana mego był psotnik i śmiechulski, że tylko jemu byle śmiać się i dokazywać... *Bywało*, ja w chustce na głowie przed próg wyskoczę i Kaśki wołam, a on przyskoczy, wpół mnie schwyci i jak małe dziecko na saniach posadzi... Chustka mi z głowy spadnie, śmieję się tak, że aż mi *duch zabiera* i ani obejrzę się, jak on na saniach stanie, na konie krzyknie i haj! lecim... Ja siedzę, on stoi, w jednej ręce lejce trzyma, w drugiej bat... ale bata on na konie nie używał, tylko wesprze się, *bywało*, na nim, żeby mocniej stać, bo stojąc jeździć strasznie lubił i tak, *bywało*, wyprostowany, słuszny, piękny, jak ten młody dąb, co choć wiatr dmie, jego ani ruszy, leci i ani drgnie... Czasem tylko na mnie spojrzy i zagada: „a co, Ewka, nie zimno tobie?” i znów na konie: „hej, hej, dzieci, hej, hej!” aż po drodze i polu rozlega się... *Najpierwiej*, proszę, pani,

to my tak drogą pocztową trzy wiorsty przelecim... dzwonek dzwoni, kopyta końskie po śniegu *czach-czach, czach-czach!* Słońce, choć to zima, świeci, niebo wszędzie takie błękitne, pole z jednej strony i z drugiej strony takie białe, białe, że aż oczy mroczą się, drzewa przy drodze *migają* i wróble, krzyżąc, zrywają się przed końmi...

Oczy jej zaiskrzyły się i policzki zapłonęły. Z rubaszną żywością giestykulować i poruszać się zaczęła, rękoma ukazując niby te pola, drzewa i wróble, o których opowiadała, a postacią naśladowując to wyprostowaną postawę Romana, to rwanie się koni, to własne ówczesne rozweselenie i rozchichotanie.

— Potem, pani moja, braliśmy się z gościńca na prawo, jak dziś pamiętam, że na prawo, i wjeżdżaliśmy w las, w którym siennica stała. Tu już nie można było tak lecieć, jak przez gościńiec, bo droga była wąska i kręciła się między drzewami. Roman do koni przemówił: „wolniej, dzieci, wolniej!” i choć lejców ani przyciągnie, konie wolniej iść zaczynają. Mowę jego bestye te rozumiały. Wtedy, *bywało*, i on przy mnie na saniach siądzie, nogi wyciągnie, bat przy sobie położy i po lesie ogląda się. Strasznie las lubił, bo synem leśnika był, w puszczy hodowanym i w ośmnaście lat, po ojcu osierociawszy, pocztylionem został. Siedzi tedy, *bywało*, i ogląda się. „Patrzaj, Ewka — mówi — jakie te drzewa wysokie, hej, aż pod niebo rosną!” „Aha!” — mówię. — A on znów: „Patrzaj, Ewka, co śniegu na gałęziach... ot zdaje się, że złamię się zaraz!” „Aha!” — mówię. — Patrzę, pani moja, i dziwuję się, że drzewa takie wysokie i śniegiem oblepione... A on znów: „Patrzaj, Ewka, jak tam słońce przez gęszcze prześwieca się i śnieg błyszczący”. Prawda, że błyszczał, aż oczy mrużyły się. A cicho tam było, pani moja, jak makiem posiał. Ani wiaterku najmniejszego, ani głosu ludzkiego znikąd nie słyhać... Czasem tylko sucha gałąź gdzieś zatrzeszczy i złamię się, albo wrona zleci na drzewo i zakracze. Końskich kopyt nawet nie słyhać, tak pomaleńku sobie stąpają i sań nie słyhać, tak suną się po śniegu, jak po puchu. A Roman do mnie: „Śpiewajmy!” — mówi. — Ja na to, jak na lato: śpiewajmy! Dużo on bardzo piosenek ślicznych umiał, od swego ojca, co w wojsku kiedyś służył, i od swojej matki, co po dworach służyła, nauczył się i mnie ponauczał. Jak zawiedziem tedy jednym głosem: „Stój, poczekaj, moja duszko”... albo: „Bywaj, luba, zdrowa”, to te śpiewanie nasze po całym lesie rozlega się, i zdaje się, że aż pod niebo idzie, i zdaje się, że go te wysokie, takie wyprostowane i śniegiem oblepione drzewa słuchają. U Romana lejce tak wolno wiszą, że aż ciągną się po ziemi, konie jak dzieci pomaleńku, równiuteńko sobie idą, a my, objąwszy się w pół i po lesie patrząc, śpiewamy i śpiewamy, jak te, nieprzymierzając, dwa ptaki... Wtem, jak oberwie się z gałęzi kawał śniegu, jak spadnie jemu na głowę a mnie na sam nos, jak rozsypie się nam niby grad po plecach i po kolanach... ja w krzyk, on w śmiech... i śpiewanie nasze skończone. Roman lejce w garść, znowu na saniach stoi i na konie: hej! hej! A tu i na polankę wjeżdżamy, gdzie siennica stała. Wtedy oboje z sań wyskoczmy i do roboty! Silna byłam, pani moja, jak chłop... to też, kiedy mąż siano na sanie składa, dobrze mu, *bywało*, ku pomocy jestem. On nosi i ja noszę, on składa i ja składam, a wciąż na *wyprzódki* biegamy, to od sań do siennicy, to z siennicy do sań, aż ułożym furę taką, jak wielka góra. Wtedy Roman do mnie: „No, Ewka, a co teraz z tobą będzie?” — mówi. — Nibyto straszy, że już dla mnie miejsca niema. „Piechotę pójdziesz do domu!” — mówi. — „To i pójde — mówię — wielka bieda!” A on mnie w pół i na sianie posadzi, że aż utopię się w niem i tylko głowę moją widać. „Siedź, babo, a trzymaj się, żebyś z tej wysokości nie spadła!” — mówi. — Sam przy mnie siądzie i tak już, pomaleńku, do chaty wracamy...

— A biedy wielkiej w chacie waszej nie było?

— Ej nie, proszę pani; bogactwa nie było, ale i biedy nie było. Statkowaliśmy i pracowali oboje, to i nie *zaznali*śmy głodu. *Bywało*, na obiad kapustę i groch, albo barszcz i kartofle gotuję, na wieczrę znów kartofli albo bobu zwarzę i czasem słoniną okraszę. Wieprzaka co roku karmiłam, na Boże Narodzenie były z niego kielbasy i kiszki, a na Wielkanoc, Roman od ekonomy, albo od chłopą którego prosię kupował i, za nogi trzymając, do chaty przynosił... To i czegoż więcej żądać było?

Istotnie; groch i kapusta, barszcz i krupnik, bób i kartofle, raz w rok prosię pieczone — czegoż więcej żądać było można? Romanowa z najgłębszym przekonaniem twierdziła, że nic nad to do życzenia mieć nie mogli. Pamięć jej opowiadała, że przy tym sposobie

żywienia się, była ona w porze owej doskonale szczęśliwą. Roman szczęśliwym był także, ale niedoskonale, bo stokrotnie pragnął posiadać kawałek ziemi.

— Ot tak, proszę pani, żądał on kawałka ziemi, że mu to w dzień, ani w nocy z głowy nie wychodziło. Raz powrócił z kądzi i ledwie *jarmiak* zdjął, mówi: „Ewka, jaką ja chatę tam za miasteczkiem widział! tylko co, widać, ktoś ją zbudował, bo nowiućka, dach jeszcze żółty, cztery okienka z czerwonymi szlakami naokoło i drzwi na czerwono pomalowane, ganeczek, dziedziniec, płotek z łozy, ogród warzywny, kawałek pola — wszystko jest. Ot, żebyśmy my kiedykolwiek taka siedzibę mieli. Oj!” I może pani nie uwierzy, ale jak Boga kocham, prawdę mówię. Z dziesięć mil tego dnia ujechał, zmókł na ulewnym deszczu tak, że koszulę, w której jeździł, aż wykręcać musiałam, kieliszek wódki nawet dla rozgrzania się wypił, a snu mu z powodu tej chaty nie było. Położył się i z początku zasnął, ale potem ciągle mnie budził: „Ewka, — odzywa się — czy ty śpisz?” „Nie, a co?” — mówię. — „Żebyś ty widziała tę chatę! Koło okien czerwone szlaki na łokieć szerokie, przy samym lesie stoi i jak miarkowałem po miedzach, że trzy morgi gruntu przy niej. Ot, żebyśmy to mieli kiedy trzy morgi gruntu! Oj!” przewracał się i wzdychał wciąż do tej chaty, jakby, za pozwoleniem pani, do kochanki. Wieczorem, *bywało*, kiedy już wszystko około koni zrobi, a nigdzie nie jedzie, przychodzi ze stajni do domu, bierze Michałka na ręce, po izbie go nosi, aż pod sufit huśtając, tak że chłopiec rączynami o belki za każdą razą opiera się, albo, znowu śpiewa sam i jego śpiewać uczy, a potem zaczyna swoje, o własnej chacie i o gruncie. „Żeby mi Bóg dał, — do chłopca mówi — we własnej chacie cię hodować! żebym ja kiedy mógł, na własnym gruncie orania cię uczyć! Żebym ja oczy przy śmierci zamykając myślał, że ty gospodarzem po mnie w swojej chacie zostajesz! Oj!” Westchnie, *bywało*, chłopca mnie odda, a sam w kącie izby siada, twarz ręką podpira i chmurzy się, jak niebo na deszcz. Wtedy ja z dzieckiem zawsze przy nim siadę i pocieszam go mówiąc: „Może Pan Bóg da!” „Może!” — odpowiada i zaczyna różne projekty układać. Żeby tak gdzie lepszą służbę dostać, do wielkiego jakiego majątku na leśnika pójść, czy co? Żalność mu prędko przechodziła, ręk nie opuszczał i zawsze miał nadzieję: „Jeszcze my, Ewko, młodzi; — mówi — byle statek i pracowitość były, wszystkiego *dochrapać* się można”, A ja w to i wierzyłam. Kiedy on tak mówił, widać prawda była. I sama, *bywało*, o własnej chacie rozgadam się. Łuczywo zapalone i w szczelinę pieca wetknięte pali się jasno niby pochodnia, przy piecu stara Kaśka siedzi, konopie kręci albo motki zwija i bób gotowany żuje; my też na ławie, za stołem, nad misą bobu siedzimy, a chłopak nasz, spory już, pucaty, rumiany, w koszulinie czystej naprzeciw nas, na stolku niby siedzi, a na stole leży i z wytrzeszczonymi oczyma słucha co my gadamy. A my bób jedząc, o naszej chacie, cha, cha, cha! tej, do której jeszcze ani słominki nie było... Jakto my, proszę, pani, na własnym gruncie gospodarzyć będziem, wiele tego siał, a wiele tamtego, jak sobie dwie izby ładnie ustroim, wieprzaków trzech karmić będziem i owieczek kilka, dwie krówki, kłacz ze źrebięciem... Czasem aż pokłócim się z sobą o nasze przyszłe gospodarstwo... Ja kur żądam i kaczek, a on mówi: „głupstwo te twoje kury i kaczki! Ja ich trzymać nie pozwolę, bo szkody robią!” „Otóż będę trzymać!” — mówię. — „Otóż nie będziesz!” „Będę!” — krzyczę, a on jak stuknie kulakiem w stół, to aż misa podskoczy i chłopiec rozplacze się. Wiadomo, mężczyzna, siłę swoją znał. A ja znów, *bywało*, cała struchleję i tylko chłopca płaczącego tulę, a na męża już i spojrzeć boję się. Ale u niego złość prędko mijała. Krzyknie raz, drugi, przez kilka minut nachmurzony siedzi, a potem: „Ewka, dajno mi chłopca!” I wszystko już skończone. Tylko kiedy czasem, dzwonek wtedy odezwie się przed *stancją* a *smotrytiel* zawoła: „Roman, konie zakładać!” Roman wstaje z ławy, klnąc pocztę i pocztylionowskie życie. „Żeby ich dyabli porwali! — mówi — z żoną i z dzieckiem posiedzieć nie dają! Wlecz się teraz na całą noc, żeby ich...!” A ja mu *jarmiak* podając i czerwonym pasem go przewiązując, z pociechą: „Poczekaj *kryszkę!* — mówię — z własnej chaty nikt cię na całą noc wyganiać nie będzie!” Aha! własna chata... komu ją Pan Bóg daje, a komu nie daje... i memu Romanowi dał... tylko bardzo ciasną...

Po ciasną istotnie chatę dążyć miał pocztylion, gdy raz, sześć koni do karety przejeżdżającej pani jakiejś założywszy, wpadł do izby, wołając:

— Ewka! paradny *jarmiak* włożyć kazali! Dawaj! — Ubierał się spieszenie, przejeżdżającą panią była żona dygnitarza jakiegoś; *smotrytiel* kłaniał się jej uniżenie, a na pocztyliona o pośpiech wołał. Noc zapadała jesienna, czarna, dżdżysta i świszcząca wichrem. Stacya

miała opętanych mil cztery i przed przybyciem do drugiej, rzekę dużą nie mostem, ale promem przebywać wypadało. Romanowa, według zwyczaju dopomagając mężowi do śpiesznego ubierania się, wzdychała: „w taką ciemną noc! przez rzekę!” — „Głupstwo! — odpowiadał — albo to ja pierwszy raz w ciemną noc i przez rzekę pojedę! Ot, jedna tylko bieda! konie lejcowe, te, coto tydzień temu kupione, ręki mojej jeszcze nie znają i narowiste. Dali mi je do poprawienia, ale bestye jak stawały dębem, tak stają. Jeżeli człowiekowi długiego czasu potrzeba, aby od złych nałogów odwyknąć, to cóż zwierzęciu”. — Kiedy powiedziawszy to, stanął przed palącym się w piecu ogniem, całkiem już ubrany, to w długim *jarmiaku* swym z czarnego aksamitu, w czerwonym pasie, ze świecącym medalem na piersi i futrzaną czapką, z fantazyą na krucze włosy włożoną, wydawał się tak wysokim, silnym i pięknym, że Ewka, o trwodze swej zapominając, wpatrzyła się w niego, jak w cudowny obraz. Dobrze uczyniła, że długo na niego popatrzyła, bo nigdy więcej nie miała go już widzieć. W dwie niespełna godziny potem, jak uściskawszy ją i dziecko, wyszedł z izby, ostrzegając, aby pamiętała na noc drzwi chaty dobrze zamknąć, na kozioł karety wskoczył, lejce w garść schwycił i na konie zawołał: „hej! hej! dzieci, hej, hej, hej”; w dwie niespełna godziny potem, jak kareta świecąc zapalonemi latarniami, z głuchym turkotem oddaliła się od stacy i zniknęła w deszczowej i wietrznej ciemności, zalegającej drogę pocztową; w niespełna dwie godziny potem, u przewozu, gdy prom przepłynawszy rzekę przybić już miał do brzegu, w deszczowej i wietrznej ciemności powstały straszne krzyki. Coś się tam okropnego z promem, z końmi i z ludźmi stawało. Karete jednak, jadącą w niej panią i jej lokaja uratowano. Dwa konie tylko zadusiły się i pocztylion utonął.

Romanowa splasnęła rękoma.

— Ot, tobie i chata z czerwono pomalowanemi drzwiami! ot, tobie i kawałek własnego gruntu! Wyciągnęli go z rzeki, na czerwono pomalowali mu trumnę i w żółtym piasku wykopali dół...

Cięzka łza ciekła po grubej i ciemnej skórze jej policzka; zgarbiła się, trzęsła głową i wilgotnemi oczyma żałośnie patrzyła kędyś, daleko... Nagle, oczy jej oschły i błysnęły tak, jakby miała lat dwadzieścia, jak błyszczeć musiały wtedy, kiedy to Roman, konie do sań założywszy, wołał: „Ewka! razem pojedziem!” Wyprostowała grubą kibić swą i ręce pod fartuch zakładając, z widoczną niecierpliwością pytać mię zaczęła, co ma na wieczere gotować. Z nogi na nogę przestępowała i aż drżała, tak jej się chciało coprędzej za drzwi wyskoczyć. Jednak gawędzenie, opowiadanie, żalenie się i chichotanie, było jej namiętnością. Uszczęśliwiał ją każdy, kto jej gawędzić z sobą pozwalał. Dlaczegoż teraz tak niecierpliwie rozmowę ze mną przerwać pragnęła? Zobaczyła snać przez okno kogoś, czyj widok oczy jej osuszyl, kibić zgarbioną wyprostował i nogi porywał do szybkiego biegu. Zobaczyła przez okno młodego, wysokiego chłopca, który w surducie poplamionym, wysokich bótach i czapce, krzywo nieco na głowę włożonej, dziedziniec przebywał, dążąc ku wiodącemu do kuchni, bocznemu gankowi domu.

Przez dziedziniec szedł krokiem zamaszystym, z głową tak podniesioną i takimi ruchami ramion, jakby każdemu, kogoby spotkał, zapowiedzieć chciał: „do trzech ze mną nie gadaj!” Zawadyactwo i burda biły z ruchów i miny jego. Gdy wchodził na wschody ganku, zachwiał się parę razy i zaklął grubym, rubasznym głosem. Twarz Romanowej zachmurzyła się znowu i po chwili stała się nawet bardzo posepną. Wyraz bólu napęlił szare jej oczy, trwoga, z przerażeniem granicząca, zatrzęsła wargami. Niemniej pilno jej było iść, pilniej jeszcze niż przed minutą, gdy zdala tylko spostrzegłszy nadchodzącego, dostrzec jeszcze nie mogła, w jakim przybywał on usposobieniu.

W kilka minut potem, w kuchni rozlegał się i aż na dziedzińcu słyszeć się dawał grubijański, trochę ochryply, z łajaniem i przekleństwami pomieszany, o coś u kogoś dopominający się głos męski, któremu od chwili do chwili głos kobiecy odpowiadał:

— Cicho, Michałku, cicho, cicho!

*

Przy jednej z ulic Ongrodu wznoszono wielką kamienicę. Wysoki parkan z desek odgradzał ulicę od świeżego i już prawie do wysokości dachu zbudowanego muru. Pomiedzy parkanem a murem wznosiły się szkielety mularskich rusztowań, sterczały drabiny,

na chodniku, okrytym rozbitymi ceglami i wapiennym pyłem, stały drewniane naczynia z rozrobioną gliną i wapnem. Dość często, w porze dnia tak wczesnej, że na ulicy znajdowała się mała jeszcze liczba przechodniów, przed wznoszącą się kamienicą, o parę kroków od parkanu z desek, stawała kobieta wysoka, gruba, w ciężkim skórzanym obuwiu, w sztywnej samodziiałowej spódnicy i szarej chustce, zarzuconej na głowę. U ramienia jej wisiał kosz spory, zamknięty, napełniony zapewne przedmiotami, nabytymi w rzeźni i na rynku. Stawała przed parkanem z desek, twarz w górę podnosiła i ku szczytowi rusztowań patrzyła. U szczytu tego pracowało robotników mularskich kilkunastu, układając cegły i żywo poruszając kielniami i ramionami. Ale ona na jednego z nich tylko patrzyła. Odosobniony nieco od towarzyszy swych, w białym fartuchu, osłaniającym go dokoła od szyi aż do stóp, stał on na rusztowaniu najwyższym i gorliwie, zręcznie, wprawnie pracował. Robota jego była taką, że spełniał ją stojąc; wysoka więc, silna i zgrabna jego postać jako też głowa, czarnymi włosami okryta, z wypukłością rzeźby zarysowywały się na tle białawych obłoków. Inni robotnicy gwarzyli pomiędzy sobą, z opuszczonymi rękoma co chwilę odpoczywali, czasem zawodzili krótkie lecz donośne kłótnie. On nic do nikogo nie mówił i nie odpowiadał; z niejakim wdziękiem, przez siłę i doskonałą wprawę wytwarzanym, nieustannie poruszał ramieniem w kielnię uzbrojonem, i tylko czasem śpiewać sobie zaczynał głosem silnym i czystym; rzucał w powietrze kilka nut różnej piosenki i wnet ją urywał.

Kobieta z dużym koszem u ramienia, z podniesioną głową, wpatrywała się w młodego robotnika tego, a im dłużej patrzyła, tem rozkoszniejszy uśmiech rozlewał się po jej twarzy, ciemną, grubą, pomarszczoną skórą obleczoną, rozweseloną małym, zadartym nosem, świecącej dwojgiem oczu małych, szarych, bardzo żywych. Gruba, duża chustka, którą była okryta, zsunęła się jej całkiem na plecy, ukazując głowę w białym, przybrudzoneczepku. Potem i czeppek przekrzywił się i zsunął na tył głowy, a zpod niego na wąskie i w grube fałdy pomarszczone czoło, rozsypały się rudawe i mocno posiwiawe włosy. Patrzyła wciąż i uśmiechała się coraz szczerzej, dobroduszniej, rozkoszniej. Coraz liczniej ukazujący się na ulicy przechodnie zatrzymywali się obok niej i za nią, podnosili także głowy i z rozwierającymi się od ciekawości ustami, poszukiwali w górze czegoś nadzwyczajnego, czemuby ta kobieta tak uparcie przypatrywać się mogła. Ona zgromadzających się dokoła niej ludzi nie widziała. Popychali ją oni i uderzali łokciami, ona tego nie czuła. Patrzyła. Przez otwór w parkanie wybiegł niewielki pies, kundel, w czarne i białe plamy, a ujrawszy ją przybiegł uradowany, przednimi łapami wspiał się o jej kolana i rękę jej polizła. Psa tego spostrzegła i wzrok ku niemu spuszcżając pogłaskała go grubą, czerwonymi i czarnymi bliznami okrytą ręką.

— Żużuk! Zużuk! — mruknęła — pana swego pilnujesz! dobry Żużuk!

Wtem, z góry rozległ się głos męski:

— Czemu mama do domu nie idzie? Ludzie tylko schodzą się tu przez mamę, jak na widowisko jakie!

Znowu twarz swą oblaną rajskim uśmiechem, w górę podniosła.

— Przyjdiesz, synku, na obiad?

Młody robotnik mularski zstąpił był po rusztowaniu o kilka łokci niżej i przechylony nieco ku dołowi, rozmowę z matką rozpoczął. Żużuk, ujrawszy go, z radosnem skomleniem rzucać się zaczął na parkan.

— Niech mama będzie spokojną, przyjdę z pewnością...

— Przyjdiesz? — wahającym się głosem zapytywała jeszcze.

Ale on schwycił znowu kielnię swą i już na nią nie patrzył. Raz tylko spojrział jeszcze w dół i zawołał:

— Żużuk!

Pies zrozumiał rozkaz i z podwiniętym ogonem położył się u stóp rusztowania. W kłębek zwinięty, leżał on tam całemi godzinami, od czasu do czasu tylko podnosząc głowę i sennym wzrokiem szukając w górze swego pana. Ilekroć młody robotnik brał żwawy i długotrwały udział w jakiejś dokonywającej się w mieście mularskiej robocie, Żużuk miał pozór najszczęśliwszego pod słońcem psa. Wybornie śnać żywiony i czule pieszczony, spokojnie wylegiwał się u stóp rusztowania i wesoło potem, ze sprężystymi skoki i zuchwałem szczekaniem, biegł ulicami miasta, ślad w ślad za powracającym od roboty wysokim, zgrabnym chłopcem, w białym fartuchu i czapce ubielonej wapnem, a zawsze

z fantazją, więc krzywo trochę włożonej na czarne włosy. W tych porach, w których Żużuk doświadczał niezmaczonego dobrobytu i szczęścia, szczęśliwą też bywała i kobieta owa, która we wczesnej i porannej godzinie, z ciężkim koszem na ramieniu, oddawała się przed wznoszoną kamienicą niewypowiedziane błogim kontemplacyom. Zamieniwszy kilka słów z synem i pogłaskawszy Żużuka, odchodziła krokiem tak żwawym i sprężystym, jak gdyby miała lat dwadzieścia. Tu i owdzie zatrzymywały ją znajome jej kobiety, kucharki, tak jak ona, albo żony ubogich mieszczan, rzemieślników. Wtedy, na chodniku albo pośród rynku, słychać było rozmowy głośne, wśród których głos Romanowej brzmiał wesołością rubaszną i gadatliwą. Śmiała się i rozmachiwała rękoma.

— Jak Boga kocham, — dowodziła — najlepszy z niego w całym mieście robotnik! Chlewiński, kiedy zaczyna co budować, ledwie go po rękach nie całuje, żeby do niego, nie zaś do kogo innego szedł na robotę. Co drugi przez cały dzień robi, to on w dwie godziny, jak za siebie, zarzuci. W ojca wrodził się. Silny taki, że strach i robota mu pali się w rękę. Za zwierzętami tak samo jak ojciec przepada i *taki* zupełnie ojcowska natura... dalibóg... ojcowska...

Jejmość chuda i żółta, wielką chustką okryta, piskliwym głosem odpowiadała:

— Daj Boże! pani Romanowa! daj Boże! Tylko, że podobno nieboszczyk wódki nie znał...

Romanowa czuła się tem napomknięciem kumy niemile dotkniętą.

— I on tak samo znać jej nie będzie, — wołała — jak Boga kocham! nie będzie! Już miesiąc minął, jak do ust nie wziął... pracuje... Chlewiński płaci mu po rublu na dzień... Czy to żarty? Pieniądze te, mnie do schowania oddaje... — „Mama — mówi — mnie piękny tużurek kupi i palto... a potem jeszcze i zegarek srebrny... będę sobie ubierał się jak pan!” — Ot, zobaczycie, pani Wincentowo, że on o swoich pieniądzech prędko wiedzieć nie będzie... Wzbogaci się strasznie, pierwszym majstrem w Ongrodzie zostanie... Jak Chlewiński, własne domy będzie miał...

— Daj Boże! daj Boże! — piskliwym głosem powtarzała kuma, a złośliwie uśmiechała się. Ona, której mąż, garncarz, pijakiem był, wiedziała dobrze, co o tych wielkich nadziejach Romanowej mniemać należało.

— Memu — powiadała — nic nie pomaga... Już mu i emetyku do wódki wlewałam i proszek jakiś, co mnie kabalarka dała, sypałam... zawsze to samo... Co zarobi, to w gorzałce utopi... w domu taka bieda, że choć ty z dziećmi giń i przepadaj...

Końcem chustki otarła zażawione oczy; Romanowa patrzyła na nią z obudzonym nanowo niepokojem, który jednak wkrótce przemijał. Świetlany obraz silnej i zgrabnej postaci syna, wysoko, wysoko zarysowującej się na tle białawych obłoków, w oczach jej pozostał i nie dopuszczał do nich trwogi, ani łez. Garncarz Wincenty i syn jej — co za porównanie! Tamten był zawsze robotnikiem lichym, pracować nie lubił i nie umiał. Mały, krępy, z czerwonym nosem i wiecznie mokremi oczyma, wyglądał na łajdaka i był nim od najmłodszych lat swoich. A jej Michałek taki słuszny, piękny, do ojca, jak kropla wody do drugiej kropli, podobny, tak jak ojciec i wesoły i śmiały, robotnik w całym mieście najtęższy, psy i koty nawet jak dzieci lubiący, miałby marnie przez wódkę przepadać? Oho! jak Bóg Bogiem, tego nie będzie! Bieda była i przeszła. Chłopiec pohulał trochę i ustatkował się już na zawsze.

— Niech Pan Bóg pocieszy! Niech Najświętsza Panna dopomoże! — ze współczuciem szczerem, ale też i z wewnętrznym tryumfem zegnała wyżółkłą, rozżaloną kumę i biegła dalej. Wbiegła do kuchni, kosz stawiała na ziemi, chustkę zrzuciła z głowy i żwawo, z zapalem brała się do swych zajęć. Z natury i przyzwyczajenia niepospolicie pracowitą była, a choć jej już pięćdziesiąt lat życia przeminęło, zachowała jeszcze sporo tej siły, z jaką niegdyś mężowi w ciężkich jego robotach dopomagała. Wodę wiadrami, choćby zdaleka nosić, drzewa narąbać, w każdej chwili dnia i nocy, w mróz piekący, czy w deszcz ulewny, na drugi koniec miasta zbiegać, było dla niej drobnostką, pełnioną zawsze raźnie i szybko. Po słonecznym początku życia, pozostał jakby w jej duszy promień wesołości. W porach owych, w których Żużuk i ona szczęśliwymi się czuli, usta jej nie zamykały się ani na chwilę. Krzątała się około ognia i rondłów, dolewała, dosypywała, kosztowała, siekała mięso, wałkowała ciasto i z włosami zebranymi pod biały czepek, z rękawami kaftana zawiniętymi po łokcie, z policzkami od ognia rozczzerwienionymi, gadała, gada-

ła... Ktokolwiek z domowników, którakolwiek z kum i znajomych, woziwoda, Żydówka roznosząca owoce, każdy, słowem, kto zjawiał się w kuchni, był dla niej słuchaczem pożądanym. Miała-bo też opowiadać o czym i czym się chlubić. Kiedy w dwa lata po śmierci męża do miasta z dzieckiem przywędrowała, ileto ona nacierpiała się nędzy i tęsknoty serdecznej przeniosła. Ze wsi do miasta! Ani wy ludzie nie wiecie, ile w przenosinach takich utrapień jest i smutków wszelkiego rodzaju. Idzie sobie przez miasto kobiecina biedna, po śliskich albo piekących kamieniach w podartych trzewikach stąpa, strwożenie wielkie ogłupia oczy jej, które kiedyś może i roztropne były, między chudemi policzkami usta marszczą się do płaczu, za rękę, skrzywione też do płaczu dziecko prowadzi. Gdyby ją kto zapytał: „Dlaczego i poco tu przybyła?” Odpowiedziałaby, że gdy męża nie stało, nędza ją gnała z chaty do chaty, ze dworu do dworu, aż tu przygnały powieści ludzkie o lepszych losach, które w mieście znaleźć można i pamięć na dawne rozmowy z mężem o tem, że dziecko na człowieka wykierować trzeba. A jakżeby go ona tam na wsi na człowieka wykierowała? Pastuchem najprzód, a potem parobkiem byłby i koniec! W mieście zaś, o! wcale co innego. Tam, ojciec marzył dla syna o własnej chacie i kęsie własnej ziemi. Tu, matka, włócząc się po nieznanym zrazu ulicach miejskich, głodna, źle odziana, przelekniona i stęskniona, przypatrywała się kamienicom wysokim i myślała: „Ej! żeby tak on kiedy własną kamienicę miał!” Więc, przedewszystkiem do faktorki, przez krewną jakąś, w mieście mieszkającą, następczoną, z prośbą o służbę. Służba znalazła się, z pensją malutką, z jedzeniem niedostatecznym, z okrutną zależnością od ludzi obcych, i nieokrzesaną, nieumiejącą wieśniaczką gardzących. Potem może będzie lepiej.

Gdzie tam! Długo było bardzo źle. Nacierpiała się strasznie: i złego obejścia się, i obelżywych wyrazów, i ciągłych z domu do domu przenosin, i przymusowego bezrobocia, połączonego z głodem, chłodem, trwogą o przyszłość własną i dziecka. Wspomnienia, o, te wspomnienia znikłego szczęścia, własnego ogniska, rodzinnych stron... Chociaż ich tem imieniem nazwać nie umiała, chociaż znaczenia wyrazu: wspomnienie, nie zrozumiałaby nawet, piekły ją one tak samo, jak piekłyby tego, ktoby był w stanie opisać je ślicznym wierszem. Nic a nic nie wiedziała o Włochu Alighierim, który ten rodzaj męki ludzkiej określił nieśmiertelnym wierszem, ale kiedy sfukana i nową zmianą miejsca zagrożona, trochę głodna, samotna jak ten bocian, któremu piorun gniazdo roztrzaskał, w ciasnej i zimnej kuchence, przy lampce palącej się bładą i cuchnącą iskrą, siedziała łokciami o stół wsparta i na wzór wszystkich ludzi żalonych kołysała się to wtył, to naprzód, wtedy myśl Alighierego wypowiadać była zwykła językiem własnym, strofą piosnki, której ją jeszcze matka, ubogiego ogrodnika żona, w dzieciństwie nauczyła. Nie śpiewała przecież, tylko wzdychając mówiła, a raczej mruzczała:

— Oj doło moja, doło, gdzieżeś się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy z wiatrem zleciała?

— W wodzie utonęła, oj, w wodzie, w wodzie doła moja utonęła!

Za piecem coś zaszeleściło, senny głos jakiś zamruczał. Znękana kobieta zrywała się ze stołka, chwyciła lampkę i biegła za piec. Tam, na ziemi leżał siennik, a na sienniku spało dziecko, chłopak spory już, z cerą bladawą, ładnymi rysami twarzy i gęstwiną czarnych włosów, rozrzuconą dokoła głowy. Z mocno ściśniętymi pięściami, w grubej koszuli u piersi rozwartej, z bosemi nogami wysuniętymi spod jakiejś starej, sukiennej szmaty, spał jak kamień. Kobieta schylała się nad uspiionym chłopcem i przyświecając sobie lampką, przypatrywała się mu oczyma, które prędko osychały z łez, a napełniały się uczuciem zachwycenia.

Lata przechodziły, los jej poprawiał się nieco. Jakim sposobem zdołała nauczyć się sztuki kucharskiej, nigdy się jej nie ucząc? Ani ona, ani nikt powiedziećby nie potrafił. Zmieniła coprawda, z powodu nieumiejętności swej, miejsc z dziesięć, ale tu zobaczyła to, tam owo, dochodziła sama, odgadywała, kombinowała, z książek uczyć się nie mogła, bo czytać nie umiała. Tak, nie umiała czytać i wogóle nic wcale nie umiała. Jednak nauczyła się sztuki swej jakotako, i otrzymywała służbę w domach nieco zamożniejszych, lepiej opłacaną, u ludzi też lepiej wychowanych i więcej ludzkich. A wtedy już i Michałek dorastać zaczynał i do szkółki miejskiej uczęszczać. Potem u garncarzy Wincentowstwa na chrzcinach, miała niewysłowione szczęście pana Chlewińskiego, pierwszego w mieście

majstra mularskiego, napotkać i poznać. Majster Chlewiński przychodził do garncarza na chrzciny już z łaski tylko, albowiem był to człowiek ubierający się w cienki surdut i srebrny łańcuch od zegarka, posiadający dwa domy drewniane wprawdzie, ale własne i w jednym z nich zajmujący mieszkanie z bawialnym pokojem, ozdobionym kanapą i firankami u okien. Mularstwem przecież trudnił się jeszcze gorliwie, znaczne zyski zeń ciągnąc. Do tego wspaniałego majstra, baba przyczepiła się jak smoła. Chodziła za nim, błagała, jęczała, całe dzieje swoje w najpatetyczniejszy sposób mu opowiadała, do żony nawet jego poszła i w ręce ją ucałowała, aż dopięła swego. Majster Michałka jej za ucznia mularskiego przyjął. Ona, oczyma wyobraźni widziała już chłopca swego w takim cienkim surducie, w jakim Chlewiński chodził i posiadaczem dwóch własnych domów. Późnemi wieczorami, kiedy sama we wpół ciemnej kuchni siedziała, przed oczyma jej stał wysoki, piękny poczytliwiec, w czarnym długim jarmiacu i czerwonym pasie, a ona ze łzami w oczach, a szerokim uśmiechem na ustach do niego mówiła: „A co, widzisz, jak ja synka naszego ślicznie wychowałam i wykowałam! Nie doczekałeś się ty chaty własnej, będzie ją miał on!”

Niewielka kuchnia, której blisko połowę zajmowała maszyna kuchenna, a jedyne okno wychodziło na wąskie przejście, śmieciem spiętrzone, a wysokim płotem od sąsiedniego dziedzińca odgradzone, bywała widownią scen rozmaitych, pomiędzy którymi zdarzały się i wesole. Ze zgrabną postawą i czarnymi włosami ojca, syn Romana wziął po matce małe i szare jej oczy, które szpecąc go trochę, wyrazem swym zdradzały zachodzące w nim samą sprzeczność. Były one błyszczące i żywe, ale nie jak u matki dobroduszone i trochę głupowato wesole, lecz namiętne i hulaszczyste. Malował się w nich burzliwy niepokój, połączony z wielką chciwością uciech. Możliwyby rzecz, że w tych błyszczących, wciąż zmaconych i niespokojnie od oczu ludzkich uciekających źrenicach, przejrzały się męty miejskie i obraz swój w nich pozostawiły. W zamian, uśmiech jego był szczery, świeży, odkrywający dwa rzędy białych zębów, rzucający mu na twarz wyraz słodczy i uczciwości. Kiedy idąc do matki przechodził przez dziedziniec w mularskim fartuchu swym i ubielonej czapce, albo w niedzielę i święta, w czystym surducie i za kolana długim obuwiu, z ruchów jego zgrabnych i dziarskich i twarzy jaśniejącej zadowoleniem, poznać w nim było można pracowitego i uczciwego robotnika, któremu nie brakowało ani chleba, ani zapracowanej i pewności siebie budzącej niezależności. Idąc, pogwizdywał sobie, a nieodstępny Żużuk biegł obok niego lub przed nim w wesołych podskokach. Gdy przekraczał próg kuchni, rozlegać się w niej zaczynały donośne śmiechy. Ani matka, ani syn nie umieli śmiać się półgłosem, a ten pocieszny Żużuk nabawiał ich zawsze wesołości niepomiernej. Wpadłszy za panem swym do kuchni, rozpoczynał on najprzód z miejscowym kotem przezabawne gonitwy i walki, które jednak kończyły się prędko, bo Michałek, za psami przepadając, lubił także koty, i nad dobrym swoim znajomym mrućkiem, ulubieńcowi swemu, długo znęcać się nie pozwalał. Owszem, siadłszy na ławce i kota na kolana swe wzięwszy, psu za karę na dwu łapach stać rozkazywał. Żużuk stał na dwu łapach i o litość wzywającami oczyma dokoła kuchni wodził, a Romanowa z warząchwią lub durszlakiem przy maszynie kuchennej stojąc, kładła się niemal od śmiechu. W gruncie rzeczy, śmiech ten jej nie tyle był obudzany przez Żużuka, ile stanowił wyraz doskonałego jej w tej chwili uszczęśliwienia; uszczęśliwienie wzrastało jeszcze, gdy po ukończeniu obowiązkowych zajęć, zasiadała z synem do obiadu.

Przy białym sosnowym stole, u okna umieszczonym, zasiadali oboje, a Michałek Żużukowi siadać też rozkazywał: „Siadaj jak pan!” — wołał. — Kundel, w białe i czarne łaty, siadał na stołku jak pan, plecami o ścianę wsparty, z pyskiem zadartym dumnie; lecz było to na krótko, bo mu w tej pozycji zapach potraw długo utrzymać się nie pozwalał. Wciągał w nozdrza miły ten zapach i wspaniałą postawę pana na pokorę psa zmieniając, wyprostowany jak struna i z błagającym wyrazem oczu, na dwóch łapach stał. Z drugiej strony, bury kot siedział na ramieniu Michałka i patrząc w jego talerz, głośno mrućkał. Romanowa, z pełnemi jedzenia ustami, od stołu do maszyny kuchennej i napowrót biegła, usługując synowi. Karmiła go, jak wróbliska małe wróblątka, w usta mu niemal jedzenie wkładając.

W szarej godzinie, pod płytą maszyny ogień kuchenny dogasał czerwonymi iskrami, a jeżeli to było w niedzielę lub święto, Michałek wyciągał się jak długi, na porządną pościelą zasłanym łóżku matczynym. Ona na stołku siadała przy nim, pies u nóg jej usypiał

i kot na ciepłej jeszcze płycie spał, mrużąc głośno. Matka i syn gawędzili. W głowie młodego robotnika roily się różne szlachetne ambicje. Do wojska go nie wezwano, bo był u starej matki jedynakiem. Więc przyszłość cała przed nim była wolna i obiecująca mnóstwo rzeczy, których pragnął tak, że na wspomnienie ich aż drżał z niecierpliwości. Przedewszystkiem, za rok najdalej, postara się, aby cech mularski udzielił mu urzędowo tytuł czeladnika. Dotąd prostym i najemnym robotnikiem był; gdy czeladnikiem zostanie, do godności majstra już tylko krok jeden. Cechmistrz Chlewiński zręczność jego w rzemiośle zna, lubi go bardzo i jedną tylko rzecz ma mu do zarzucenia. No! ale tej rzeczy nigdy już nie będzie... Co było to przeszło, a teraz nie będzie on myślał o głupstwach, tylko o tem, aby jak najprędzej *wyzwolić się* na majstra. *Majstersztyk*, czyli jakąś doskonałą robotę mularską, będącą niby egzaminem wyzwajającego się czeladnika, robi on taki, jakiego panowie cechowi nigdy jeszcze nie widzieli. Będzie to piec z mechanizmem i ozdobami własnego jego pomysłu. Z twarzą ku sufitowi zwróconą i nogami na poręcz łóżka zarzuconymi leżąc, a rękoma szeroko rozmachując, długo i z zapalem opowiadał o piecu tym matce, która nic wcale ani mechanizmu, ani ozdób wymyślonego przez syna *majstersztyku* nie rozumiejąc, z podziwu i uwielbienia dla synowskiego rozumu, szeroko otwierała oczy i usta. On, na jej łono wylewał dalej błogie rojenia swoje. Kiedy już majstrem zostanie, będzie mu wolno posiadać własne swe narzędzia, na swoją rękę robotników najmować i podejmować się wielkich robót. Kamienice bogatym ludziom i urzędowe budynki na swoją rękę, tak jak teraz Chlewiński, budować zacznie i zarabiać ogromne pieniądze. Pięć lat nie minie, a domek sobie, choć drewniany, kupi, ożeni się i matkę do siebie weźmie. Ożeni się zaś nie z kim innym, tylko z córką majstra Chlewińskiego, która teraz podlotkiem jeszcze jest i do guwernantki chodzi. Ta Zośka Chlewińska czternaście lat może ma teraz, czy co? a taka już *piękna*, że człowiekowi aż ćmi się w oczach, kiedy na nią patrzy. Swawolnica też straszna; ile razy przyjdzie on do jej ojca, szczebiocze z nim jak sikorka i z Żużukiem jego bawiąc się, śmieje się do rozpuku. Figle mu też stroi różne: czapkę chowa, do fartucha kokardki kolorowe przypina, a jak ją onegdaj matka zato strofować zaczęła, lzy jej w oczach zakręciły się: „Widzi mama, — odpowiedziała — ja pana Michała bardzo lubię!”

Słuchając opowiadania tego, Romanowa tajała z radości. Śpiesznym szeptem i z cichym, rajskim chichotem zapytywała:

— A matka co jej na to? co na to? a *baćko* (ojciec) co jej na to?

— Matka akurat wtedy naleśniki w kuchni smażyła, zaśmiała się i mówi: „to może pana Michała na naleśniki zaprosić, kiedy ty jego tak lubisz?” A Chlewiński przez kuchnię do domu wtedy powracający, poklepał mnie po ramieniu i odpowiedział: „Żebyś, panie Michale, rad moich słuchał i dobrze sprawował się, możebyś kiedy zięciem moim i został. Czemu nie? Córek mi Pan Bóg dał cztery. Za grafów ich nie powydaję, a z ciebie, jeżeli tylko sam zechcesz, pierwszy w gubernii majster kiedyś być może!” Dziewczyna usłyszawszy to, jak koza za próg skoczyła, ale kiedym *mimo* ich domu przechodził, to przez okno tak zaśmiała się do mnie, że mnie aż zachciało się płakać...

I teraz westchnął ciężko.

— Ot, — rzekł — puste słowa! Albo to Chlewiński córkę swoją mnie da!

Romanowa, która z zachwycenia wielkiego zsunęła się ze stołka i na ziemi siadła, oburzyła się:

— Oho! nie da! — z przekąsem zawołała — czemu by nie miał dać? Wielka figura! Ty, żebyś chciał, mógłbyś i z księżniczką jaką ożenić się!

W głosie jej brzmiało głębokie przekonanie o prawdzie tego, co wypowiadała.

— Bardzo edukowana będzie! do guwernantki chodzi!

Baba z zapalem trzepać zaczęła.

— A ty nie edukowany? a ty nie chodził do szkoły? Czytać i pisać popolsku i porusku umiesz, liczyć umiesz i — Bożeż mój, Bożeż, czego ty nie umiesz! Wszystko umiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Myślała, że zasnął i pocichutku wstawszy z ziemi, na palcach odeszła, zamierzając także do chwilowego spoczynku na ławce się ułożyć. Ale on dalekim był od snu.

Podniósł się wkrótce i usiadł.

— Pójdę, mamó — rzekł.

Słowa te, zda się, poderwały Romanowę z ławki, na której już leżała. Siadła także i wyprostowała się jak struna.

— Pójdiesz, synku? a dokąd?

Wahającym się głosem odpowiedział:

— Tak sobie... pójdę... przejść się...

Przyskoczyła do niego.

— Nie idź, synku; no, nie idź! posiedź jeszcze trochę... Samowar zaraz nastawię i herbaty ci zrobię. Jak Rozalia państwu kolacyą poda, przyjdzie tu z nami siedzieć... W *gospodarza i woza* grać będziem... a potem, wyśpisz się dobrze na mojem łóżku i jutro rano ztąd do roboty pójdiesz...

Obejmowała go ramionami, błagała, aby został. W zmroku napelniającym kuchnię, widać było trwożne migotanie jej oczu. On, stał nieruchomy i chmurny. Spuścił głowę, zamyslił się. Po chwili przecież podniósł twarz i z zuchowatą rubasnością zawołał:

— Ot, pójdę i koniec! Czyto ja dziecko jestem, żeby miał trzymać się maminej spódnicy. Niech mi mama z moich pieniędzy trzy ruble da!

Kobieta splasnęła rękoma.

— Znów! — krzyknęła.

Wtem, do ciemniejącej kuchni przyplęły basowe, powolne dźwięki kościelnych dzwonów. Na Romanowę, jakby natchnienie jakieś spłynęło.

— Ot i na nieszpory dzwonią! prosiłam o pozwolenie, zęby pójść dziś na nieszpory! Pójdę! chodź ze mną, synku, na nieszpory!

Milczący i chmurny, wziął z ławki czapkę swoją i gdy matka stary, watowany paltot i dużą chustkę śpiesznie na siebie zarzucała, szerokimi krokami ku drzwiom zmierzał. Ona pewna była, że już bez niej wyjdzie, ale brakowało jej w gardle głosu, aby go wołać i wstrzymywać. Dzwony kościelne huczały wciąż poważnym basem, do którego wmieszał się dźwięk wiolinowy, jasny, wołający, wołający... Michałek oderwał rękę od kłamki i około głowy i piersi uczynił gest szybki i szeroki. W zupełnej prawie ciemności stał i zaledwie domyśleć się było można, że przeżegnał się. Romanowa to spostrzegła.

— A widzisz! — zawołała — dyabła od siebie krzyżem św. odpędzasz! Pan Bóg woła! Słyszysz jak Pan Bóg woła!

Wskazujący palec wyciągała w stronę, z której dochodziły dźwięki dzwonów.

— No, chodźcie, mamó, razem!

Razem wychodzili na ulicę i do kościoła dążyli. Żaden z wielkich tryumfatorów ludzkości nie pysznił się tak ze zwycięstw swoich, jak pyszniła się wtedy Romanowa. Szła chodnikiem zamasytostą i prędko, łokciami i całą swą grubą osobą niemiłosiernie szturchając i rozpychając przechodniów, na całe gardło śmiejąc się i gadając. On także na ulicy fantazyi i zuchowatości nabierał. Pogwizdywał sobie i śmiechowi matki rubasznym swym, ale dźwięcznym, bo młodym śmiechem wtórował. Czasem, łokciem w bok ją uderzył.

— Niech mama patrzy... Zośka Chlewińska z matką i starszą siostrą...

Usta sobie dłonią zakrywał i oczy wytrzeszczał tak, jakby zgrabnego i ładnego istotnie podlotka pożyć chciał niemi. Pani majstrowa z córkami szły takie na nieszpory. Byłyto panie już *kapeluszone*, ale zresztą skromne w ubraniu i nosów do góry niezadzierające. Michałek usiłował zająć im drogę przed kościołem i bardzo nisko, nie bez pewnych jednak zamiarów elegancyi, czapkę przed nimi zdejmował. Zpod skromnego kapelusika szafirowe oczy podlotka figlarnie i serdecznie ku niemu zerkały, pani majstrowa zaś uprzejmem kiwaniem głowy Romanowę witała. Pomiędzy nią a kucharką zachodziła wprawdzie wielka różnica społecznej pozycyi, ale Chlewińska niezupełnie jeszcze zapomniała, że była córką ubogiego dorozkarza, a mąż jej w chwili zaślubienia jej znajdował się na niskim hierarchicznym stopniu mularskiego czeladnika. Romanowa wstępowała na wschody kościoła powoli już, poważnie, z podniesioną głową. Wydymała ją całą duma niezmierna. Ot, kto ona taka! najlepsza sługa w całym Ongrodzie; w bogatych domach służy, takiego syna ma, i takie majstrowe przyjaźnią się z nią, jak z równą! Ot, co ona za jedna! Ale w kościele, przed bocznym ołtarzem, na kolana padała i bez książki do nabożeństwa (nie umiała czytać) modliła się pokornie, żarliwie, ze łzami w oczach i głosnemi westchnieniami. Czołem uderzała o kościelną podłogę, albo jak długa rozciągała się na niej krzyżem. „Ojcie nasz, któryś jest w niebie”, mówiła i przez chwilę płaczliwe chlapanie dalszemu ciągowi pacierza przeszkadzało. Z ramionami rozpostartemi leżąc,

twarz swą ciemną, pomarszczoną, głupowatą znad cegieł podłogi podnosiła i w górę słała spojrzenie pełne takiej wiary i takiego namiętnego błagania i takich wielkich, przy świetle świec woskowych, srebrnie gorejących łez, że zdawało się, iż musi ono przebić kopułę kościelną i wdrzeć się do świecącego nad nią wieczornymi gwiazdami nieba. Za nią, Michałek czasem stał i pacierze szepcząc, z widoczną jednak dystrakcją po kościele zerkał, uśmiechami i kiwaniem głowy witając znajomych płci męskiej i żeńskiej; czasem zaś klękał, modlił się z żarliwością od matczynej niemniejszą, bił się co moment pięścią w piersi i nawet trochę płakał. W pierwszym wypadku, prawie na pewno wnosić można było, że przez tydzień jeszcze, dwa, albo nawet trzy tygodnie, codziennie on będzie po gorliwej pracy do matki przychodził, z nią i pokojową Rozalią wieczorami w gospodarza grać, Żuzka pieścić i dla Zosi Chlewińskiej koty i koguty z gliny lepić, odpowiednio je z wierzchu malując. Ale, kiedy pólgnęłam i z ferworem wielkim trzepałam pacierze, a od bicia się jego w piersi aż echo rozchodziło się po kościele, był to znak zły. Ogarniały go snąć wtedy potężne pokusy, od których bronił się w kościele żarliwą modlitwą i skruczą. Wtedy też z twarzy jego zniknął ten uśmiech szczery i świeży, który ją czynił młodzieńczą, i pociągające, szare, mętne źrenice uciekały od ludzkich oczu, posępniał i często, bez przyczyny, w złość wpadał. Kipiało w nim coś, z czym walczyć usiłował, a Romanowa, z rękoma splecionymi u piersi, z wargą drżącą, z mrógającymi szybko powiekami patrzyła na niego i ciągle, ciągle myślała o wąskim, błotnistym zaułku, pośród którego żółto świeciły szklane, muslinową firanką z wewnątrz zasłonięte drzwi.

*

Drzwi te i obok nich znajdujące się okno, świeciły wieczorami jak dwoje żółtych mrógających oczu. Odpowiadało im o kroków kilkadziesiąt wyżej nieco połyskujące i bledsze światelko latarki. Była to w tym miejscu latarnia jedyna. Zresztą, zaułek z dwoma rzędami rzadkich małych domków i rozdzielających je długich parkanów, zalegała gruba ciemność, w której niewyraźnie czerniały domki milczące i szczelnie zamknięte, parkanów wcale nie widać było, a u stóp latarniowego słupa połyskiwały mokre kamienie bruku i pomiędzy kamieniami stojące wody. Ku szklanym drzwiom, oświetlonym z wewnątrz żółtym światłem, prowadził stopień drewniany, wysoki i nadpróchniały. Na stopniu tym, w kłębek zwinięty, leżał w ciemności i na deszczu niewielki pies, w czarne i białe łaty. Sierść jego była mokrą i najeżoną, kurczył się i drżał z zimna. Głodnym być musiał, bo leżał tu już tak od samego rana, od czasu do czasu tylko, z przestachem odskakując na stronę przed ludźmi, którzy przez drzwi te wchodzili i wychodzili, lecz wnet po zamknięciu się drzwi, zajmując znowu uprzednią pozycję. Była to pozycja bardzo niewygodna, bo nietylko na deszcz, padający przez dzień cały, ale i na gęste krople wody z dachu spływające wystawiona. Pies jednak, nie opuszczał jej. Czasem westchnął, albo pysk podjąwszy krótko i żałośnie zawył, czasem też zdawał się ucha nadstawiać na głosy ludzkie rozlegające się we wnętrzu budynku, jakby wśród nich znajomy sobie głos rozpoznawał, czy rozpoznać pragnął.

We wnętrzu budynku gwarów wielkich zazwyczaj nie bywało. Zbierające się tam towarzystwo bawiło się zapewne w izbach oddalonych nieco od zaułka i których okna wychodziły na dziedziniec wąski, pusty, ze wszech stron parkanem otoczony. Ztamtąd też, mętnie i niewyraźnie, do uszu nasłuchującego psa dochodziły stukania kul bilardowych, rozpoczynane i niekończone śpiewanie, krótkie wybuchy ochrypłych śmiechów i rozmów. Nagle, pies zerwał się na wszystkie cztery łapy. Tuż za oświetlonymi drzwiami, do których tulił zmokły i drżący od zimna grzbiet swój, usłyszał głos swego pana, zmieszany z kilku innymi głosami. Zawrzała tam kłótnia zawzięta; słychać było uderzenia, upadek na ziemię ciężkiego jakiegoś ciała, brzęk rozbitego szkła, zanoszący się śmiech paru głosów, grubijańskie łajania i przekleństwa kilku innych, aż z impetem i trzaskiem wielkim rozwarły się drzwi ze szklanymi szybami, a z nich wypadł i po wysokim stopniu na bruk zaułka stoczył się człowiek wysoki i silny, bez czapki i paltota, chwiejący się na nogach i pięściami ku gwałtownie zamkniętym drzwiom wygrażający. Widocznie wypchnięty został. Twarzą zwrócony ku żółtym światelkom, za którymi znowu zrobiło się cicho, wygrażał pięściami i bełkoczącym głosem wykrzykiwał przekleństwa i groźby. Pies zeskoczył z drewnianego stopnia i ze spuszczonego ogonem przytulił się mu do nogi.

Chłodne powietrze i odkrytą głowę jego skrapiający deszcz drobny, orzeźwiły nieco szynkowego gościa. Przestał krzyżeć i wygrażać, i zataczając się trochę począł iść zaułkiem. Nie był jeszcze zupełnie pijanym i wiedział, dokąd i pogo idzie. Bełkotał nieustannie, to mrucząc niewyraźnie, to głosem podniesionym, prawiąc o jakiejś kompanii, którą ugaszczał, a która niegodziwie się z nim obesła. Przyrzekał też odpłacić jej zato, gdy tylko wróci. Kilka kroków uszedłszy, przed słupem latarni stanął i wrzeszczeć zaczął:

— Mamo! dajcie pieniądze!

Blade światło latarni padało mu na głowę, okrytą gęstwiną czarnych, rozczochranych włosów i na twarz ze ściągłemi, ładnemi rysy, oszpeconemi w tej chwili ciemnymi rumieńcami i błędnem migotaniem oczu. Przez całe pięć minut rozmawiał ze słupem latarni.

— Niech mama odda moje pieniądze — bełkotał.

Potem z wielkiem uniesieniem krzyknął:

— Pieniądze oddaj!... czy słyszysz?

I znów coś niezrozumiałego mruczał, z takimi ruchami i giestami, jakby usiłował słup latarniowy o czemś przekonać i ku czemuś skłonić. Nagle rozwidniło się mu trochę w głowie. Poznał omyłkę swoją, splunął, zaklął i poszedł dalej. Z zaułka skręcił na dość szeroką, widniejszą nieco ulicę i szedł samym jej środkiem, w mroku, rozwidnianym zrzadka rozstawionemi latarniami. Włókł się raczej niż szedł, bo nogi pod nim chwiały się i zataczały, a jednak postawa i giesty jego wyobrażały nieograniczoną pewność siebie. Przechodniów w tej porze na ulicy prawie nie było; czasem jednak przemknął po chodniku niewyraźny i śpieszący cień ludzkiej postaci. Wtedy on prostował się, przystawał i oglądając się za przechodzącymi, wygrażać im zaczynał. Bardzo stanowczo oświadczał, że nie boi się nikogo i że gdyby nawet sam jenerał albo *Kniaź* podszedł teraz ku niemu, onby mu powiedział: „*paszoł procz!*”. Jenerałów i *Kniaziów* nie było prawdopodobnie pomiędzy temi cieniami ludzkich postaci, które, na widok pijanego zawadyaki, przyśpieszały kroku i szybko w bramach domów, albo na skrętach ulicy znikają. On szedł dalej, chwiejący się lecz nieustraszony, a tuż za nogą jego włókł się i pełzył prawie pies ze zmokłą sierścią, z pyskiem ku ziemi zwieszonym i podwiniętym ogonem. W zmroku przerywanym światłami latarni zwierzę ukazywało się, to znowu znikowało, podobne do małego, drżącego cienia pokory i smutku. Tak człowiek i pies wchodzili na dość obszerny dziedziniec i wstępowali na boczny ganek stojącego w głębi jego domu. Człowiek z całej sity uderzał pięścią w zamknięte drzwi, ale po raz drugi nigdy uderzać nie potrzebował, bo cicho i prędko otwierały się one natychmiast. Ktoś tam czuł widocznie i przybycia jego oczekiwał, aby jak najprędzej wpuścić go do wnętrza i przez to hałasowi wszelkiemu zapobiec. Bez czepka, ani chustki na głowie, z rozczochranemi włosami, bosa, w samodziałowej spódnicy swej i grubej koszuli, cicha jak grób, Romanowa drzwi otwierała i starannie potem zamknawszy je, lampką z wysokim kominkiem przyświecała w ciemnej sionce niepewnym krokom syna. Cicha jak grób, stawiała lampkę na kuchennym stole i ręce u piersi splatając, zwracała się ku wchodzącemu, za którym, pełznąć prawie, wsuwał się Żużuk i wlatywał ostry powiew chłodu.

Jak kwadrans temu przed słupem latarni, tak teraz przed nią przybyły stawał i spokojnie znowu mówił:

— Mamo! dajcie pieniądze.

Ona szklanym wzrokiem na niego patrzała i ani słowa na ustach jej, ani, zda się, oddechu w jej piersi nie było. On głos podnosił nieco:

— Niech mama odda mnie moje pieniądze!

Grubą, czerwoną dłonią swą z rozpostartemi palcami uderzał się w piersi i pochylony ku niej, z błyszczącymi oczyma, nagłym szeptem bełkotał:

— Jak Boga kocham, mnie potrzeba... mnie koniecznie potrzeba!... Jeżeli nie oddacie, pójdę i powieszę się! U mnie tam jest wesola kompania... ja ją na traktament zaprosiłem... Wypchnęli mnie za drzwi, bo nie miałem już czem ich traktować... Bestya Szlomka na kredyt nie daje... To wstyd! aż mnie w gardle wyszło ze wstydu. Ten kum maminy, Wincenty, krzychał, że ja hołysz... Pokażę mu, jaki hołysz... Przede mną panowie czapki zdejmują... Chlewiński mnie w ręce całuje, żebym jego córkę za żonę brał... o! a on mówi, że ja hołysz... hołysz on sam, gałgan, pijanica...

Tak mówił przez dobre minut pięć. A ona nic, ani słowa, ani tchnienia. Patrzała tylko na niego i powieki jej szybko mrógały. On niecierpliwił się i za rękaw koszuli targać ją zaczynał. Wtedy kiwała głową i cicho mówiła:

— Ty znów pijany...

Na przypuszczenie to oburzał się i stanowczo mu zaprzeczał:

— Chyba mama pijana... ja wódki jeszcze w gębę nie brał... Ja jestem najlepszy robotnik w Ongrodzie, przede mną panowie czapki zdejmują. Chlewiński mnie po rękach...

I nagle przerywając sobie, a rękę z rozpostartymi palcami, którą tłókł się w piersi, w pięść ściskając, ochryplym głosem krzyczał:

— Pieniądze oddaj, czy słyszysz? Coto? czy ja do swoich zapracowanych pieniędzy prawa nie mam! Otwieraj! bo jak nie otworzysz, siekierę chwycę i tak kufer łupnę, że w trzaski się rozleci...

Kobieta zerwała się z miejsca i, skokiem tak ciężkim, że aż drżały od niego stolki kuchenne, do kufra przypadła, siadła na nim. Bosemi stopami w podłogę wparta, siedziała prosta, w twarz syna wpatrzona, bez głosu, tylko z piersią dyszącą ciężko. Zdawało się, że ciałem swym krwawicę syna przed nim samym osłonić usiłowała. On miotał się przed nią, rozmachiwał rękoma, to szeptał przekonywująco, to wydawał krótkie wykrzyki. Sto razy głośno krzyknął lub zatupał, z ust jej z przeciągiem syczeniem wychodził jeden tylko przyciszony, błagający wyraz: „cicho! cicho! cicho!”

Z oczyma błyszczącymi jak u rozgniewanego zwierzęcia, chwycił ją za ręce i z kufra ściągnąć usiłował. Wtedy i jej małe szare źrenice rozplomieniały się także. Silną swą pięścią uderzała go w pierś, tak, że niepewnie na nogach stojący, zataczał się pod przeciwległą ścianę. Wnet jednak przyskakiwał znowu, a z nim razem i Żużuk, który mniemając zapewne, że ktoś panu jego krzywdę wyrządzić próbuje, zpod progu zrywał się i w obronie jego, szczekając, stawał. Hałas, złożony z tupotania nóg męskich, z pijanych wykrzyków, ze szczekania psa, wzmagał się coraz bardziej, a siedząca na kufrze kobieta jednostajnym wciąż, przeciągłym syczeniem powtarzała: „Cicho! cicho! cicho!”

Nakoniec, wzruszeniem niezmiernem sił pozbawiona, przejęta trwogą, aby ludzie, hałas usłyszawszy, nie wpadli tu i wstydu jej nie zobaczyli, zsuwała się z kufra na ziemię i twarz rękoma zakrywszy, głośno płakać zaczęła. Wprzód powtarzała wciąż: „cicho! cicho! cicho!” teraz sama zawodziła i szlochała, bez pamięci już o niczem, głośno i jękliwie. Jak śmiać się, tak i płakać cicho nie umiała. Ale ten głośny płacz jej sprawiał na Michałku szczególne wrażenie. Przysiadł na ziemi obok matki i także popłakiwać zaczął. Pięści do oczu przyciskając, żalił się:

— Ja nieszczęśliwy człowiek jestem... zgubiony... ze wszystkim zgubiony... Ze mnie ludzie śmieją się i za drzwiami mnie wypychają... Nikt mnie nie żałuje, nikt nade mną litości nie ma... biedny ja na świecie sierota... biedny, nieszczęśliwy... bez ojca i bez swojej chaty... i matka na mnie płacze... chyba mnie już i Pan Bóg przenajświętszy przeklnie, kiedy matka nade mną, synem swoim, łzami kapie...

Ujrawszy go płaczącego i żalów jego słuchając, Romanowa tajała jak śnieg na słońcu. Ręce mu na szyję zarzucała i twarz jego łzami oblewając, mówiła:

— Prawda, oj prawda, że ty sieroteczka mój biedny, bez ojca hodowany i własnego kąta niemający...

— Kiedy mama pijakiem mię nazywa — żalił się dalej.

Ona przez łzy chichotać zaczynała.

— Oj, to ja synku tak sobie, ze strachu żartowała... Jaki ty pijak! Tak tylko źli ludzie gadają, mnie i tobie wstyd chcąc zrobić... Ty najlepszy robotnik i najpiękniejszy kawaler w Ongrodzie... tyby z księżniczką ożenić się mógł... Chlewiński niemal w ręce cię całuje, żebyś do niego na robotę szedł...

Patrząc wtedy na nich i rozmowy ich słuchając, możnaby myśleć, że oboje pijanymi byli. Tak zresztą i było. Płacz i skargi syna upajały ją jak trunk. Czasem, gdy tak oboje czuli się i popłakiwali, on, trunkiem wypitym w ciepłe kuchni rozmarzony, pochylał głowę na kufer lub na matczyne kolana i usypiał. Wtedy ona, o! jak szczęśliwa, z niepomierną siłą swoją bezwładne ciało jego na łóżko wyciągała, kołdrą go otulała, bóty mu z nóg ściągała i sama, lampkę zadmuchnąwszy, kładła się na wąskiej, nagiej ławce, przykryta tylko starą wełnianą chustką. Żużuk szczęśliwy także, zwijał się w kłębek w kącie kuchni, przy samym piecu, kot spał na płycie, głośno mrucząc, a tam, hen, w ciemnym,

blotnistym zaułku, dwa żółte, mrógające światełka błyszcząły w zupełnej ciszy; nikt ku nim tej nocy nie dążył. Wypadki takie bywały jednak rzadkie. Najczęściej Michałek, po rozrzewnieniu chwilowym, z ciężkością lecz z gwałtownymi gośćmi podnosił się z ziemi i znowu do matki o pieniądze wołał. Z sercem tającym od czułości i żalu, wiecznie lękając się, aby ludzie nie usłyszeli i nie nadeszli, drząc, wstawiała także, otwierała kufer i paczkę asygnat synowi w dłoń wpychała. Chlipała i powtarzała znowu: „Cicho! cicho! cicho! sierotęńku mój biedny! Cicho już! cicho!”

W parę minut potem, ulicą i zaułkiem, prowadzącymi do szynku Szlomy, szedł znów chwiejący się i zawadyacko giestykułujący pijak, a za nim pies ze zmokłą sierścią i spuszczoneym pyskiem włócił się, podobny do małego, drżącego cienia pokory i smutku.

Następowały potem dni, często tygodnie, w których zgrabnego i dzielnego robotnika nikt nigdzie w mieście nie widywał; natomiast, u drzwi to tego, to owego szynku, zawsze widzieć było można psa w czarne i białe łaty, strzegącego stanowiska swego z wytrwałością, granic nieznającą. Wychudły, smutny, z sierścią mokrą albo najeżoną, od czasu do czasu tylko odchodząc dla pożywienia się na śmietniku jakim, związał się on w kłębek, albo w znużeniu wielkiem wszystkie łapy wyciągnawszy, tęskniami oczyma spoglądał na drzwi i ścianę domu.

W tym samym czasie i Romanowa także zmieniała się do niepoznania. Błyszczące i żywe oczy jej przygaszały, osłupiałem spojrzeniem spoglądając zpod brwi ściągniętych i zjeżonych; na policzkach i czole osiadały czerwone plamy. Rażna żwawość jej ruchów zmieniała się w ociężałe i senne suwanie się po świecie, gadatliwość ustępowała miejsca grobowemu milczeniu. O synie jak grób milczała, a jeśli ją ktokolwiek zapytaniem do muru przycisnął, zdobywając się na pewną i nawet zuchwałą minę, kłamała. Powiadała, że go Chlewiński na wieś wysłał, aby tam w zastępstwie jego dyrygował budowaniem wielkiego pałacu. W oczach słuchacza czy słuchaczki niedowierzanie spostrzegłszy, długo i z niepospolitą żywością wyobraźni o tym pałacu, przez syna jej budowanym, opowiadać zaczynała. Miały tam być sufity i piece takie, jakich nikt jeszcze nigdzie nie widział i jakie jeden tylko Michałek jej na całym świecie robić umie. Takiego pałacu, jak ten, który on teraz tam, o dziesięć mil od Ongrodu buduje, niema w całej *Polszcze*, ani nawet w Paryżu. Opowiadając, przejmowała się tak dalece mularską chwałą swego syna, że zaczynała sama we wszystko, o czym mówiła, wierzyć. Oczy jej błyskały znowu, głos podnosił się i opadał, kibić od uczuwanej dumy wydymała się i grubiała. Nagle urywała wspaniałą swą opowieść, powieki jej mrógać, a wargi drżeć zaczynały; porywała wiadro i bez żadnej potrzeby biegła po wodę, albo wypadłszy z kuchni, kryła się w ciemnej drwalni, z której, po kilku zaledwie minutach, z brzemieniem polan w ramionach wychodziła. Czarodziejski pałac wraz z rusztowaniem, na którym z gorliwością i wdziękiem poruszał kielnią młody, wysoki robotnik, przed omamionemi na chwilę oczyma jej, rozsypywał się w gruzy. Innym więc razem, innego kłamstwa próbowała. Mówiła, że sama wysłała Michałka na wieś, do swojej rodziny. Ciotki tam ma, które za nim przepadają, i stryjecznych braci, gospodarzy dostatnich, których chłopiec odwiedzać czasem musi, bo strasznie lubią i ją, i jego. I jak o pałacu owym, tak i o tej rodzinie swojej szeroko i długo ludziom rozpowiadała. Znowu wpadała w złudzenie, sprawiane własnymi słowami, znowu uszczęśliwienie i duma rozpromieniały twarz jej i wydymały postać, i znowu bez żadnej potrzeby biegła do drwalni i, za stosem polan ukryta, załamywała ręce aż w stawach trzeszczały i przyciszonym głosem zawodziła.

— Oj, niema u mnie ani ciotek, ani *bratów*, ani rodziny żadnej, ani żadnej duszy swojej... Oj, biedna ja na tym świecie, opuszczona sierota, na dziecka rodzzonego zgubę patrząca!

Niezaczepiona, milczała i tylko do tych, ku którym największe czuła zaufanie, zbliżała się i tajemniczo szeptała:

— Co z tego będzie? co z tego będzie?

Policzek swój, tak w porach owych czerwonymi plamkami ocentkowany, jakby nań wielkie krople krwi trysnęły, na dłoni opierając, osobie, przed którą stała, patrzyła w oczy wzrokiem śmiertelnie zranionego zwierzęcia.

— Te szyby tam... w zaułku... te, proszę pani, *czyste* wilcze oczy! Kiedy mię Roman po lesie woził, raz w nocy, patrzę, co tak świeci się między zaroślami? Roman do mnie: „To wilk!” — mówi. — Ja aż trząść się zaczęłam od strachu, a on śmieje się. Jak Boga

kocham, śmiał się, wilka zobaczywszy. Niczego nie lękał się. „Nie bój się — mówi — ucieknie bestya od dzwonka!” I to prawda, że uciekł od dzwonka. Ale ja teraz, jak idę tym zaułkiem, a te drzwi i to okno zobaczę, to zaczyna mię tak trząść, jak wtedy, kiedy wilka w zaroślach śród nocy zobaczyłam.... Wilcze oczy! czyste wilcze oczy!

Z wyrazu twarzy jej odgadnąć można było myśl, której wypowiedzieć nie umiała, że miejski wilk ten dziecko jej zjada, a ona mu go z paszczy wydrzeć nie może. Próbowiała wydzierać. Wieczorem, gdy nic już do roboty nie miała, zarzucała chustkę na głowę i, do miasta wybiegłszy, godzinami całemi chodziła po zaułku. Pod parkanami i ścianami małych domków chodziła w jedną i drugą stronę, zatrzymując się często przed dwoma żółtymi światłkami, krążąc dokoła nich, nasłuchując u okna, podchodząc ku drzwiom. Pomimo ciemności, Żużuk poznawał ją i ku jej ręce wspinając się lub podskakując, skomlił zcicha i żałośnie. Gdy szła, szedł za nią i za nią też powracał. Czasem, obie te zasmucone istoty chodziły tak jedna za drugą przez dobrą część nocy, lecz bywały i takie wypadki, w których kobieta, z energicznie zdecydowanymi ruchy i dumnie napuszoną postawą, wchodziła do szynku, a za nią, więcej niż kiedy pokorny i zmaleć usiłujący, wsuwał się pies. Co tam za temi drzwiami i tem oknem robili? Niewiadomo; lecz po kwadransie lub więcej kobieta wychodziła, dla stłumienia zapewne płaczu, końcem chustki, którą na głowie miała, usta sobie zatykając, a zwierzę wybiegało, skomląc przeraźliwie, z jedną łapą podniesioną i skurczonym grzbietem. Po każdej z tych niefortunnych prób wydzierania dziecka z paszczy miejskiego wilka, Romanowa stawiała się na czas jakiś czemś nakształt automatu, poruszającego się siłą rozpędu, lecz w którego głowie nie było myśli, ani pamięci o niczem. Ona, w pełnieniu zajęć swych tak gorliwa zazwyczaj, zaniedbywała je w stopniu, który wymagał pobłażliwości niemałej. Nie przez lenistwo przecież czyniła to, lecz przez ogarniające ją co chwila roztargnienie i zamyślenie, które u niej przybierały pozór sennej oglupiałości. Bywała to też oglupiałość brudna. Nie myła się wtedy, nie cesała i wcale nie ubierała. Rozczochrane włosy opadały jej na twarz zpod spłowiałej chustki lub brudnego czepka. Kaftan rozwierał się u piersi, na nogi wkładała stare kalosze, w których chodziła cicho, jak widmo, i powoli, jak przez sen. I tylko czerwone plamy, usiewające żółtką jej cerę, i załamywanie rąk częste, milczące, a tak silne, że aż w nich stawy trzeszczały, postać tę brudną i oglupiałą przyoblekały jaskrawem światłem wielkiego cierpienia.

Nagle i najniespodziewaniej, pierwszego lepszego ranka, zjawiała się oczom ludzkim w metamorfozie nowej. Znowu żwawa i sprężysta, w kwicistej chustce lub białym czepku na głowie, umyta, uczesana, czystym fartuchem w pasie przewiązana, twarz miała świeżą i rozpromienioną, oczy błyszczące, usta rozwarte w nieustannem gadaniu i donośnym śmiechu. Wtedy nawet, gdy milczała, zadarty nos jej i ruchliwe zmarszczki na czole zdawały się śmiać i cieszyć. W przeddzień wieczorem albo śród nocy Michałek przyszedł do niej. Przyszedł w stanie, który go czynił do człowieka niepodobnym.

Obdarty, bosy, wódką cuchnący, z włosami zjeżonemi słomą i pierzem, ale całkiem prawie trzeźwy, przyszedł i u drzwi stanął. Postawę miał winowajcy, który nie śmie kroku naprzód postąpić, a wejrzenie błędne, w kąty kuchni uciekające, czasem zdające się wzywać litości. Ona, ujrawszy go takim, z wielkim krzykiem, w którym słychać było i śmiech i płacz, rzuciła się mu na szyję i ku ławie kuchennej za rękę ciągnęła. Gdy usiadł już i, czapkę mnąc w jednym ręku, drugą z roztargnieniem gładził Żużuka, zaczynała krzątać się po kuchni. Przedewszystkiem całą pościel swą za piec wносиła i tam na ziemi zaścielała. Nie mógłże on przecież bez przyzwoitej odzieży, z nabrzmiałymi policzkami i sińcami na czole ukazywać się ludziom! Będzie więc mieszkał za piecem dopóty, dopóki nie odnowi się od stóp do głowy. Pomagała mu rozebrać się z lachmanów, w jakich przybył, i ułożywszy go na pościeli swej za piecem, zajmowała się nastawieniem samowara i odgrzewaniem jedzenia, które codziennie na wypadek powrotu jego chowała. Herbatę i jedzenie niosła mu za piec i tam, w zmroku, do którego wkradał się tylko błydy promień lampy, zaczęli ze sobą rozmawiać. Rozmawiali cicho, szeptem prawie. Ze szmerem rozmowy tej łączyły się odgłosy pocałunków, łzawe chlipy, energiczniej wymawiane słowa przyrzeczeń i przysiąg. On skarżył się na samego siebie, ona go pocieszała. Słychać było przytem brzęk łyżeczki, o szklankę uderzającej. Gdyby kto wtedy zajrzał w głąb szerokiego zapiecka, ujrzałby kobietę, siedzącą na ziemi w bladym świetle i łyżeczkę z herbatą przytykającą do ust wyciągniętego w ciemności mężczyzny. Poila go, jak niemowlę, a po

twarży jej, szerokim uśmiechem rozjaśnionej, ciekły lzy. Czasem wielka, czerwona ręka z grubemi palcami wyciągała się z ciemności, brała jej rękę, i usta, których nie widać było, składały na niej głośny pocałunek. Tak trwało godzinę lub więcej, aż głos męski, senny, mówił:

— Mamo! proszę nakarmić Żużuka!

Kobieta wyskakiwała zza pieca i dawała Żużukowi resztki krupniku, okraszone kilku kośćmi, a gdy pies zjadał je z chciwością, uśmiechając się, głaskała go po stwardniałej i błotem zlepionej sierści.

Nazajutrz do osób, którym wprzód mówiła o owych wilczych oczach i które zapytywała: „co z tego będzie?” zbliżała się znowu, ale już z wyrazem tajemniczej radości na twarzy. Żywo i szeroko giestykulując, z tryumfującym wejrzaniem, stłumionym szeptem mówiła:

— Wszystko już dobrze! Przyrzekł, jak Boga kocham, przyrzekł, że już nigdy nie będzie... I dotrzyma! Co teraz, to już, jak Bóg na niebie, dotrzyma! O! już ja go znam i wiem, że teraz to już dotrzyma!

Conajprędzej, w pierwszej wolnej chwili, biegła do miasta i za wszystkie oszczędności swe — a miewała je często, nic wcale dla siebie nie potrzebując — kupowała synowi całkowite ubranie: surdut, palto, czapkę, a często i bóty. Wszystko to kupowała u tandeciarzy, więc bardzo tanio, a w ten sposób oporządziwszy syna, po paru dniach przebywania jego za piecem, szła z nim na prymaryą i, jak wyrażała się, doprowadzała go do spowiedzi. To doprowadzenie do spowiedzi powtarzało się niezmiennie po każdym powrocie Michałka, z długiej, choć niedalekiej wędrówki. Łagodny wtedy i dający powodować sobą jak dziecko, chłopiec spowiadał się, klęcząc, modlił się żarliwie, bił się w piersi swoją czerwoną pięścią, potem wraz z matką wychodził z kościoła. Ona prowadziła go do swej kuchni i tam, bez świadków, przypatrywała się mu uważnie od stóp do głowy. Znowu był takim jak wprzód. W promieniu wschodzącego słońca, albo w smudze białego światła, bijącej od śniegu w okno kuchenne, stał słuszny, zgrabny, silny, porządnie ubrany, ze swoim szczerym i świeżym uśmiechem na ustach, z prostym i światłem wejrzaniem roztropnych, ognistych oczu. Nie rzucała się mu wtedy na szyję, tylko powoli do niego podchodziła i po ramieniu jego dłoń przesuwała, a twarz ku niemu podnosząc, mówiła:

— No, synku, a teraz idź starać się o robotę.

Giest jej był pieśczośliwy i miłosny, ale postawa i brzmienie głosu miały w sobie uroczystość, która w chwilach innych zdawała się być kobiecie tej całkiem niedostępną. Można by mniemać, że w kilku tych wyrzeczonych wyrazach mieściło się wszystko, czego wysłowić nie umiała: przebaczenie, zapomnienie, błogosławieństwo...

O robotę nie było mu trudno. Szedł do Chlewińskiego, a ten przebaczał mu wszystko. Zamożny majster widoczną słabość miał do tego ładnego chłopca i doskonałego robotnika.

Słabość dla Michałka miała też pani majstrowa, i dzielili ją wszyscy prawie, którzy go znali. W dobrych tygodniach swoich pracowity aż do niezmordowanej gorliwości, grzecznym był, usłużnym i tak wesołym, że go znajomi figlarzem i szalapatem nazywali. Na imieninach i chrzcinach różnych tańczył zgrabnie i niezmordowanie, jak nikt inny; kiedy w zapusty u którego z panów cechowych poprzebierani mieszczanie przedstawiali historią króla Heroda, on przebierał się za dyabła i skokami, a także dowcipami swemi, śmieszył aż do kolek w bokach całe towarzystwo. A ileżto u Chlewińskich bywało uciechy i śmiechów z tych glinianych kotów i kogutków, które dla panny Zofii lepił i tak ślicznie malował, że wyglądały jak żywe! Grał także na harmonijce i śpiewał różne pieśni, silnym i czystym barytonem. Wogóle, dla mieszczan i służby domowej okazywało się wyraźnie, że gdzie pan Michał był, tam było wesoło i bardzo przyjemnie. Wesołość też i przyjemność wyrażały na widok jego szafirowe oczy i ładny buziaczek jednej z córek Chlewińskiego, która z podlotka wyrosła już na wysmukle i w całej pełni kształtów rozwinięte dziewczę.

Raz robotnik mularski wracał od roboty swej o zmroku prawie, gdy, mijając kamienicę jakąś, usłyszał na chodniku żalosne, ciche miauczenie. Po gniewnym niepokoju, który ogarnął idącego w ślad za nim Żużuka, domyślił się, że byłoto odzywanie się kota. Wszedł na chodnik, popatrzał w ciemny załom muru i rozpoznał istotnie paromiesięczną kocię, wyrzucone tu snąc przez kogoś na słotę jesienną. Pochylił się, podjął z ziemi zzię-

ble i głodne stworzenie i, trzymając je na dłoni, a okrywając końcem grubego fartucha, patrzył na nie przez chwilę.

— Biedny ty! — uśmiechnął się do kocięcia — ale co ja z tobą zrobię! Do matki zaniosę, czy co?

Podniósł twarz i oko w oko spotkał się z rumianym buziaczkiem i szafirowymi oczyma Zosi Chlewińskiej. Szesnastoletnia mularzówna zarumieniała się tak, że aż jej uszy pokraśniały. Nieśmiałą jednak nie była.

— Coto takiego pan Michał w rękę trzyma? — stojąc pośród chodnika zagadała.

On zmieszał się bardzo. Rzecz dziwna! ten chłopak tak śmiały, gdy szło o spraszanie na traktament wesołej kompanii, ten zawadyaka i szaleniec, gdy mu gorzałka zaszumiała w głowie, wobec dziewczynki tej, skromnej a przyjaźnie na niego patrzącej, zmieszał się i języka w gębie zapomniał. Po kilku zaledwie sekundach, zrywając z głowy czapkę i jękając się, wyrzekł:

— Dobry wieczór pannie Zofii!

Chciał uklonić się elegancko, ale nogi formalnie w ziemię mu wrosły, więc tylko niezgrabnie głową kiwnął.

— Dobry wieczór, dobry wieczór! — zaszcebiotała znowu mularzówna; — ale coto takiego pan Michał z ziemi podniósł i w rękę teraz trzyma?

— To jest, proszę panny Zofii, kocię! — wyjąknął.

Ucieszyła się widocznie i wyciągnęła ręce. Choć była w kapeluszu i zgrabnym paltocie, rękawiczek jednak nie nosiła. Małe, czerwone od zimna rączyny, wyciągnęła po przedmiot, wspólnie ich teraz zajmujący.

— A! — krzyknęła — jaki ładny!

— Ładny, ale nie wiem, co z nim zrobić?

— Niech pan Michał mnie to kocię daruje!

— Czy panna Zofia hodować będzie to brzydactwo?

— Będę! Jaki pan Michał dobry, że zlitował się nad tem maleństwem i podniósł je z ziemi...

— A jaka panna Zofia dobra, że życzy sobie to hodować...

— Ja bardzo wszystkie stworzenia lubię...

— I ja tyż...

Rozmawiając tak, patrzali sobie w oczy. Dziewczyna wsunęła kocię w szeroki rękaw swego paltota i pyszczek jego do różowych ust swych przykładła. Teraz fala rumieńca oblała czoło mężczyzny i popłynęła aż pod czarne jego włosy.

— Co jabym, zdaje się, dał za to... — zaczął i urwał.

— Za co?

— Za to, żeby panna Zofia i mnie tyż trochę lubiła...

Spuściła na chwilę oczy, ale wnet podniosła je znowu. Wyras determinacyi spłynął na jej młodziutką twarz. Cicho, jak wprzódy, odpowiedziała:

— Ja pana Michała bardzo, bardzo lubię i oddawna już, od dziecka. Ale lubiłabym jeszcze daleko więcej, gdyby pan Michał... gdyby pan Michał... gdyby...

— Gdyby co? gdyby co?

— Gdyby pan Michał był... był zawsze taki, jak teraz... I ojciec i mama bardzo tego pragną, żeby pan Michał nie był... nie był...

Przytknęła znowu pyszczek kocięcia do ust swych i zaledwie dosłyszalnie dokończyła:

— Żeby pan Michał nie był nigdy innym, jak teraz..

Zrozumiał i płomienne rumieńce uderzyły mu do twarzy.

— Panno Zofio! — szepnął — jak Boga kocham, jak mnie to życie miłe, przysięgam, że będę już zawsze taki, jak teraz...

Niewiadomo, jakim sposobem czerwona rączka mularzówny znalazła się w wielkiej, wapnem obielonej ręce mularskiego robotnika. Uścisk to był silny i serdeczny. Bez słowa pożegnania rozbiegli się w przeciwne strony. Za nim w wesołych podskokach podążył Żużuk; ona w rękawie paltota unosiła zziębłe i wynędzniałe kocię.

Przez całe kilka miesięcy Romanowa, Żużuk i jedna z córek jednego z najdostojniejszych majstrów Ongrodu, byli bardzo szczęśliwi. Potem...

Mularskie rzemiosło, dobrze opłacające się swym pracownikom, posiada jednak tę niedobrą stronę, że przez kilka miesięcy w roku zajęcia im nie daje. Od marca do października najdłużej do listopada, pracuj ile pożądasz, ale gdy wielkie deszcze jesienne i śniegi zimowe spadną, zakładaj ręce i próżnuj, choćbyś nie wiem jak i dlaczego pracy potrzebował! Niektórzy biorą się na sposób, budują garncarskie piece i w zimowych miesiącach garnki lepia. Spróbował zrazu czynić tak i Michałek; w późnej jesieni szedł na robotę do garncarza. Ale nie udała się mu ta próba. Szopa, zamknięta i duszna od palących się w niej ogniów, włożenie do rozpalonych pieców, gnębiły ruchliwą jego naturę, pożądaną przy pracy powietrza, przestrzeni, szerokich rozmachów dla silnych ramion i hulaszczey duszy. Przytem rzemiosło garncarskie wydawało mu się czemś poniżającym i odpowiednem tylko dla niedołęgów i biedaków. Słowem, w obrzydzenie je wziął i przez cztery albo pięć miesięcy w roku żadnej wcale roboty nie miał. Romanowa bardzo dobrze pamiętała, że po raz pierwszy upił się w ciągu tych właśnie miesięcy bezrobocia. Miał wtedy lat 19. Bógże wie, co go po raz pierwszy ku wilczym oczom pociągnęło! Podobno garncarz Wincenty zaprosił go do Szlomy na traktament, a potem przez czas pewien dziewczka jakaś, bezwstydnem swem, lecz czarnem i ognistem okiem przyciągała go tam niekiedy. Przez czas pewien bywało to tylko niekiedy; potem, przybyły znajomości różne, stosunki, możność i ochota do zbierania i zapraszania wesołych kompanij. Wesołe kompanie stały się namiętnością Michałka; pysznił się tem, że był w stanie spraszać je i częstować, i tem, że lepiej od innych w bilard grał, i tem jeszcze, że kobieca część tych kompanij przepadała za nim. W bilard grał, hasał i hulał po szynkowych izbach, a można hasać i hulać nie pijąc piwa zrazu, potem wódki, a potem tego już trunku, będącego dla szynkowych gości napojem bogów, który wyrabia się z zapalonego spirytusu i ściekających doń kropel cukru, topionego nad sinym płomykiem.

Przed matką i Chlewińskim Michałek czasem usprawiedliwiać się próbował.

— Człowiek pracujący rozrywki potrzebuje... — mówił.

W zimie zaś, kiedy roboty nie miał, powiadał o nudzie, która go tak paliła, że gdyby nie poszedł do szynku, utopiłby się, albo powiesił.

Miał wielu kolegów, którzy nie nudzili się tak, jak on. Gdy Romanowa zwracała na to uwagę jego, odpowiadał:

— Wielka rzecz! kapcany i niedołęgi! I pracować nie umieją, i bawić się nie potrzebują. Mleko u nich w żyłach płynie, a u mnie krew, jak ogień.

Słowa te nasuwały kobiecie myśli, z któremi rady sobie dać nie mogła. Szumując rosół, siekając kotlety, obierając jarzyny, myślała, rozważała, kombinowała i ani rusz zrozumieć nic mogła... jak to może być...

— Jak to może być — mówiła do tych, wględem których zaufanie miała — żeby on przepadał dlatego, że lepszy od drugich... Kapcan jakiś i niezdarą śpi sobie cały wieczór za piecem i nie grzeszy, a on przez tę ognistość swoją i najlepiej pracuje, i najwięcej Pana Boga obraża...

Czasem wpadała na pomysły, które nasunąć jej mogło tylko niezmierne wytężenie myśli. Z policzkiem na dłoni opartym, ze wzrokiem od zamyślenia aż osłupiałym, mówiła:

— Jednakowoż, czyto *uczone* i *bogate* panowie nie mogą tak jakoś zrobić, żeby dla biednych i *durnych* ludzi inne zabawy były, jak te u Szlomy?...

Po owem spotkaniu się Michałka z Zosią Chlewińską, zaszłam na wiosnę, Romanowa długo ani myśli, ani trosk takich nie miała. Przez całe lato i część jesieni, chłopak jak wół pracował, naprawdę już, z polecenia Chlewińskiego, do wiejskiego jakiegoś dworu na robotę wyjeżdżał, grosiwa sporo w kufrze matczynym zgromadził; następnej już zimy wyzwolić się na czeladnika postanowił. Cechmistrz Chlewiński sam go do tego namawiał, w ostateczne ustatkowanie się jego uwierzywszy.

— Za rok — powiadał — na majstra cię wyzwolim, a za parę lat jeszcze, jeżeli rozum w głowie mieć będziesz... no...

Nie kończył pan majster mowy swej, tylko uśmiechał się filuternie i jedną ręką bujnego, płowego wusa pokręcając, drugą pobrzękiwał swym srebrnym łańcuchem od zegarka. Do znajomych swoich mawiał:

— Ten Michał, to moja prawa ręka. Zdatna bestya, aż strach! Żeby tylko to... nie to... wołałbym go dla Zośki, niż jakiego kiepskiego panicza! Ale może Bóg da... że to... tego... młodość, wyszumi się!

W listopadzie Michałek nie miał już żadnej roboty i tylko w kuchni matczynej przez kilkanaście wieczorów lepił dla panny Zofii rycerza z gliny. Teraz, gdy była ona dorosłą, nie wypadło już ją kotami i kogutami obdarzać. Rycerz — to co innego. Postawił go sobie na komodzie, w bawialnym pokoju. Na nieszczęście, rycerza z gliny ulepić i cały ubiór, a także zbroję ładnie na nim wymalować, przechodziło artystyczne zdolności mularza. Lepił, lepił, malować próbował i sam spostrzegł, że robota jego zupełnie do niczego podobną nie była. Po gniewnym ściągnięciu brwi i grubym brzmieniu głosu poznać można było, że już zaczynało w nim burzyć się coś i buntować. Przesiadywał jednak w kuchni całe prawie dni i wieczory, włożył za piec, spać usiłując, Żużuka nowych sztuk uczył, do pokojowej Rozalii, nieszpetyjnej dziewczyny, czule oczy robił i gonitwy z nią po kuchni wyprawiał, z matką świeckie i święte pieśni śpiewał, słowem, próbował wszystkiego, coby go zająć mogło. Chmurzył się przecież coraz posępniej, jadł coraz mniej, głos jego grubiał, a gości stawały się porywczyste. Nakoniec, wieczora pewnego, rycerza, który już był w piecu garncarskim należycie wypalony, ale który ostatecznie podobniejszym okazywał się do barana z jednym rogiem, niż do rycerza ze sterczącą dzidą, o ziemię cisnął, z matczynego kufra coś wyjął, czapkę schwycił i wyszedł... Znalazłszy się na ulicy, szedł zrazu prędko, potem powolniej i przeciw zwyczajowi swemu z głową spuszczoną. W ciemnym zaułku żółtawo błyszcząły, jak zwykle, okna i szklane drzwi Szłomy. Czarno zarysowujący się w ciemności wysoki mężczyzna dążył do dwu tych światełek i, zbliżywszy się ku nim o parę kroków, gwałtownym ruchem zwrócił się w stronę tę, z której przychodził. Z końca zaułka wrócił znowu, przed dwoma świecącymi punktami stał parę minut i poszedł dalej. Tak kilka razy zbliżał się ku wilczym oczom i oddalał się od nich, stawał przed nimi i, minąwszy je, zdawał się od nich uciekać, aż nakoniec, z determinacją nagłą wskoczył na stopień drewniany, tu jeszcze sobie czapkę na bok głowy przesunął, gwałtownie ręką drzwi otworzył i za nimi zniknął. Na stopniu drewnianym pozostał i niebawem w kłębek zwinął się pies, który też za nim przyszedł.

Nazajutrz wypadła niedziela. Spory plac przed kościołem okryty był śniegiem, w nocy spadłym, bladym blaskiem słońca i szarym tłumem ludzi. Nabożeństwo niedzielne skończyło się przed chwilą. Ludzie różnych stanów, opuściwszy kościół, przechadzali się po placu, albo stali grupami rozmawiając i przypatrując się ruchliwemu tłumowi. Młodziutka mularzówna wychodziła z kościoła. O kilkadziesiąt kroków wyprzedziła matkę i siostry, i z wysokich schodów kościelnych zbiegła lekka, świeża, wesoła. Bardzo wesoła była, bo wiedziała, że, jak bywało każdej niedzieli, u dołu schodów ktoś zajdzie jej drogę, ukloni się pięknie, spojrzy na nią ogniście i starać się będzie przez matkę jej lub ojca zauważonym zostać, w nadziei, że pozwolą mu iść z sobą przez ulicę miasta, a może i na niedzielne kolduny, albo smażone kielbasy zaproszą. To ostatnie zdarzało się od pewnego czasu dość już często i sprawiało mularzównie uciechę wielką. Zbiegała więc ze schodów lekko i wesoło, czerwoną kokardką, którą dziś skromny kapelusik swój przyozdobiła, zdaleka świecąc. Okrągłe jej policzki krasniały puszystym rumieńcem brzoskwini, czerwone rączki nawpół tylko chowała w rękawach taniego futerka. Nagle, rozpromienione jej oczy rozwarły się szeroko i na całej twarzy rozlał się wyraz przykrego zdziwienia. Ktoto taki stoi tam, na ostatnim stopniu schodów, widocznie na nią czeka i śmieje się ku niej brzydkim, nieprzyzwoitym śmiechem? Była pewną, że zobaczy młodego chłopca, w grubym, lecz czystym i zgrabnym paltocie, w czapce krzywo trochę na czarne włosy włożonej, z postawą skromną, grzeczną, trochę nawet elegancką. Zobaczyła człowieka w poplamionym surducie, obłożonym obuwiem, z czapką zsuniętą na tył głowy i śmiesznie daszkami sterczącą, z twarzą zaczerwienioną, mgławkami oczyma i tym jakimś okropnym, wstrętnym uśmiechem na ustach. Zbladła trochę, przygryzła ponsową wargę i ze łzami, które nagle zakręciły się jej w oczach, rzuciła się w stronę schodów przeciwną tej, w której on stał i wyraźnie na nią oczekiwał. Ale on szybko przyskoczył ku niej i, rozpychając ludzi, w twarz jej zaglądał.

— Ja na pannę Zofię czekałem — nie zdejmując czapki, zaczął głosem dziwnie zgrubiałym i trochę ochrypłym.

Nie odpowiadając, szybko chodnikiem iść zaczęła. Przyciskała się tak do kościelnego muru, że aż ubieliła sobie całą połowę futerka. Nie patrząc na nikogo, z pod powiek widziała, że ludzie, których tam pełno było, zaczęli patrzeć na nią i na niego. On szedł

wciąż przy niej, dziwnie jakoś wahając się na nogach, i ani trochę nie zniżając głosu, wciąż mówił:

— Jak Boga kocham, ja na pannę Zofią całą godzinę przed kościołem czekałem... U mnie wesola kompania jest, ale ja wszystko porzuciłem, żeby pannę Zofią zobaczyć... Niech panna Zofia tylko posłucha! Piękniejszej dziewczyny, jak panna Zofia, w całym Ongrodzie nie ma...

Dziewczkę splonęło ciemnym szkarłatem i, więcej jeszcze cisnąc się do muru i kroku przyspieszając, wyjąkało:

— Niech pan Michał da mnie pokój! proszę sobie iść ode mnie! proszę... proszę... mnie dać pokój...

Łzy płynąć zaczęły po rozpalonych jej policzkach, z całej siły jednak wstrzymywała się od płaczu i z pod energicznie w tym celu mrógających powiek zobaczyła wielką, czerwoną rękę z rozpostartymi palcami, którą towarzysz jej uderzał się w piersi.

— Jak Boga kocham, — krzyczał — niech mnie w ten moment piorun *ubije*, jeżeli ja kiedy pannie Zofii co złego zrobić zechcę... Ja pannę Zofią kocham nad życie, nad bogactwo, nad wszystko...

Kilkanaście najbliższych znajdujących się osób wybuchnęło głośnym śmiechem na te oświadczenia miłosne, grubym i ochrypłym głosem pośród miasta i tłumu ludzi wykrzykiwane. Mularzówna, na podobieństwo gonionego przez charty zająca, uczyniła zwrot szybki i nazad ku kościołowi biec zaczęła. Zapewne spodziewała się z tamtąd odsieczy, w postaci rodziców i rodzeństwa. Ale on, spostrzegłszy, że ucieka od niego, za rękę ją schwytał.

— Ho! ho! — krzyknął — co z tego to nic nie będzie! Jak Boga kocham, nie puszczę! Co-to? czy ja prawa do ciebie nie mam? Ja twój kochanek, a ty moja kochanka! My już przed Bogiem przenaświętysz małż i żona! Jeżeli ty uciekać ode mnie będziesz, *ubiję!* jak Bóg na niebie, *ubiję!* Ty moja i nikt nas nie rozłączy... żeby tam generał jaki, albo *kniaź* brać ciebie chciał, nie dam! *ubiję!* a nie dam! jak psa *ubiję!*

Czerwoną ręką z rozpostartymi palcami bijąc się w piersi, albo w powietrzu wygrażając, krzyczał coraz donośniej i grubiej, a ją, z całych sił wrywającą się, ku sobie ciągnął. Coraz zwiększająca się gromada ludzi otaczała ich, śmiejąc się z pijaka, litując się nad dziewczyną, albo drwiąc z niej także; ktoś donośnie przywoływał policyanta, który też, przez plac przebiegając, pośpieszał ku miejscu, gdzie tłoczyli się ludzie i rozlegały się krzyki męskie i kobiece, bo i mularzówna, wrywając się i szamocząc, krzyczała także i głośno płakała. Ale, zanim policyant do miejsca tego dobiegł, sam majster Chlewiński, przerażony, jak najczerwieńsza piwonia zaczerwieniony, tłum rozepchnął, pijaka uderzeniem pięści w pierś na otaczających ludzi rzucił, a obu ramionami córkę ogarnąwszy, bezwiednym ruchem, jakby ją przed oczyma ludzkimi chciał ukryć, połą baraniej szuby swej głowę i plecy jej osłonił. Tuż za nim nadbiegła otyła nieco, sapiąca, przelękciona majstrowa i jak kura skrzydłami, ramionami trzepocząc, rzuciła się także ku dziewczynie, trzęsąc się od płaczu i twarz na piersi ojcowskiej chowającej. Dwie starsze siostry, jedna mała siostrzyczka i mały brat w gimnazjalnym mundurku otoczyli ją ścisłym gronem. Chlewiński, ze łzami w oczach, zwrócił się do gromady ludzi, która stała i gapiała się jeszcze.

— Oj wy! bydło nie ludzie! — krzyknął — czyto nikt z was obronić nie mógł dziewczyny, kiedy jej taka krzywda stawała się!

W tłumie, złożonym z rzemieślników, robotników, służących, kilka osób mruknęło:

— Ktoby tam chciał wdawać się w kłótnie z pijakiem! silny taki, że wołu *ubić* mógłby!

Ktoś inny tłómaczył się:

— Dziesiętnika przecież zawołałem...

Lecz byli i tacy, którzy śmieli się i teraz. Garncarz Wincenty, niezupełnie trzeźwy, jak zwykle, i który oddawna zazdrościł Chlewińskiemu dostatków jego i znaczenia, mokremi oczyma swemi w oczy mu patrząc, na całe gardło zaryhotał:

— Dobrze ci tak! Nie trzeba było pozwalać dziewczynie z pijakiem romansować!

— *A-le!* — zaśmiało się kilku lokajów i robotników — toż on mówił, że ona jego kochanką jest, a on jej kochankiem! Widać prawo ma tak mówić! To i cóż? Niech majster wytrząśnie sakiewkę, posag córce da i — wal do ślubu!

Scenie tej policyjanci koniec położyli. Chlewińscy, o których jednostajnie obawiać się było można, aby apoplektycznego ataku nie dostali, wraz z rozplakanymi starszemi i młodszemi dziećmi uprowadzili do domu Zośkę, która, pomimo silnej budowy swej i dobrego zdrowia, mdlała prawie z żalu i wstydu...

Tego samego dnia, nad wieczorem, Chlewiński wpadł do kuchni Romanowej. Można by powiedzieć, że przez te kilka poprzedzających godzin schudł i postarzał. Rumiane policzki jego wydłużyły się, białe, niskie czoło okryło się zmarszczkami, bujny wąs, wciąż targany, groźnie nad wargami sterczał. Zamiast, jak zwykle bywało, wejść z powagą, powoli i uprzejmie, choć nieco z góry, powitać kucharkę, wpadł z hałasem, drzwi za sobą zatraskując, i bez słowa powitania zwrócił się do kobiety, która na widok jego z kufra powstała i, jak słup nieruchoma, ze splecionemi u piersi rękoma stanęła.

— Przyszedłem, — zaczął — aby imości zapowiedzieć, aby imość synkowi swemu zapowiedziała, aby synek imości progu mego nigdy już w życiu swoim nie przestępował... I niech mnie nawet nigdzie nie nawija się na oczy... a jeżeli córkę moję, trzeźwy czy pijany, kiedy jeszcze zaczepi, to daję słowo honorowego człowieka, że mu publicznie w pysk dam i jeszcze go do sądu zapozwę, albo tak zrobię, żeby go gmina własnym kosztem na Sybir wysłała... ot! niech to imość sobie pamięta i niech synek imości progu mego przestępować nie śmie...

Sapał, giestykulował, po kuchni rzucał się, krzyczał. Powaga i układność dostatniego majstra i poważnego cechmistrza zniknęła w nim ze szczętem przed gniewem obrażonego chlebobdawcy i zranionego ojca.

— Taki *szkandal* wyprawic memu dziecku... *memu... memu* dziecku... I zaco? Za dobre serce moje? za sprzyjanie moje? zato, że mu zarobek dawał? że go w domu moim jak krewnego przyjmował? Pfuj! lotr jaki!

Spluwał, i znowu gadać i rzucać się po kuchni zaczynał.

— Dziewczyna tak jak zgubiona, — krzyczał — ludzie jej za lat kilka *szkandalu* tego nie zapomną. Wszyscy teraz myślą, że ona z nim romans miała, i klóć jej tem w oczy będą! Za mąż pójdzie, a jeszcze mąż, jak zechce jej dokuczyć, tym niebawym romansem i tym *szkandalem* klóć jej w oczy będzie!

Ocierał chustką zachodzące łzami oczy i znowu powtarzał:

— Zaco? zaco? zaco on moje dziecko takim nieszczęśliwym zrobił!

Kobieta stała wciąż przy kufrze, jak słup nieruchoma, ze splecionemi rękoma. Twarz jej okryła się żółtą bladością, powieki mrógały, warga drżała. Od kilku już godzin wiedziała o wszystkim, co przed kościołem zaszło; spodziewała się tego, co ją teraz spotykało. Kiedy Chlewiński, wykrzyczawszy się i wyskarżywszy, we wszystkie kąty kuchni już splunął i, po raz setny powtarzając, że Michałka na oczy swe widzieć nie chce, ku odejściu miał się, Romanowa poruszyła się z miejsca swego i, ciężko stąpając, od progu drogę mu zaszła. Tu pochyliła się i kolana jego ramionami objęła.

— Panie! — zaczęła — dziękuję za wszystko, co pan dla niego robił i zrobić jeszcze chciał. Ja wiem... ja rozumiem... ja kolana pańskie, za niego przepraszając, całuję!

Łzy jak groch spadały na stopy majstra, który zmiękł trochę, podniósł ją i w głowę pocałował.

Kiedy w kilka dni potem Michałek, według zwyczaju swego, w pół pijany przyszedł z szynku i u matki o pieniądze swe upominać się zaczął, ona okazała się inną, niż dotąd w wypadkach podobnych bywała. Nikt nie wiedział ile wysień kosztowało ją przyobleczenie się w tę surowość, z jaką teraz syna spotkała. Nie pociągnęła go już ani na ławkę, ani za piec, ale od razu głosem podniesionym łajać zaczęła. Krzyżąc, łając i rozmachując rękoma, wyrzucała mu krzywdę wyrządzoną mularzównie i poróżnienie się z majstrem, któremu zawdzięczał wiele; opowiadała o gniewie majstra i wszystko, co mówił on, powtarzała. Michałek teraz dopiero przypomniał sobie zajście przed kościołem, i pomimo stanu, w jakim się znajdował, wiadomość o stanowczem zerwaniu z nim ojca Zośki ubodła go do żywego. Otworzył zrazu usta i, plecami o ścianę oparty, pochylił głowę. Lecz pogńębienie to trwało krótko; zastąpił je niebawem szał gniewu, podsycany żalem, którego doświadczył. Zaczął kląć straszliwie, obrzucając majstra obelżywemi nazwami. Wykrzykiwał, że nikogo nie boi się, że sam sobie panem jest, że Chlewińskiego przez dach kościoła przerzuci, a z córką jego ożeni się, bo żyć bez niej nie może i kochankiem jej jest, a ona jego kochanką...

Krzywdą, którą gadaniem takim wyrządzał niewinnej dziewczynie i córce swego do-
brodzieja, oburzyła w Romanowej uczucie sprawiedliwości. Przytem sztucznie zrazu pod-
niecając się, stopniowo wpadała w gorączkę gniewu, wzmaganą może straszny-
m uczuwaniem bolem.

— Ty znów to samo! — wrzasnęła i, podniosłszy ramię, w twarz syna uderzyła. Pierws-
zy to raz, od czasu gdy malutkiem jeszcze był dzieckiem, uderzyła go. On, tracąc do reszty
przytomność, porwał się do niej z zacisniętymi pięściami, ale w tej chwili pomiędzy nim
a nią zjawił się mały i bardzo ruchliwy pośrednik. Był nim Żużuk, który jak zwykle za
panem swym przyszedłszy, w kącie kuchni wyszukał kość jakąś i gryzł ją zawzięcie, lecz,
ujrzawszy pana swego w niezwykłym jakimś zatargu, rzucił się ku niemu i, na Roma-
nową szczekając, wił się i skakał, jakby go tem zasłaniać i bronić usiłował. Skacząc tak
i szczekając, wplątał się mu pomiędzy nogi i poruszeniom ich, i bez tego niepewnym,
przeszkadzał. Jedno mgnienie oka — i stała się rzecz okropna. Otrzymałą wiadomo-
ścią i uderzeniem matki rozwścieczony pijak, z oczyma krwią zaszlemi, pochylił się, psa
za kark pochwycił i za siebie go cisnął. Zwierzę z łoskotem uderzyło się o róg maszyny
kuchennej, przeraźliwie jęknęło, konwulsyjnie kilka razy drgnęło i pozostało na ziemi
z wyciągniętymi łapami, bez ruchu.

— Psa zabiłeś! waryacie! — krzyknęła Romanowa.

Przeraźliwy pisk Żużuka i słowa te matki otrzeźwiły go nieco. Obejrzał się, spojrzął
i rzucił się ku zabitemu zwierzęciu. Na ziemi usiadł, Żużuka na ręce wziął, targał go,
cucił niby, najczulszemi wyrazami go wołał, aż nakoniec, zwłoki psa na kolanach swych
położywszy, rozplakał się jak dziecko. Silne wrażenie, jakiego doświadczył, otrzeźwiło go
całkiem. Po kwadransie płakania podniósł głowę i patrząc na matkę, rzekł z przejmującą
boleścią w głosie:

— Teraz, mamó, już amen. Nic ze mnie nie będzie. Kiedy ja mogłem Żużuka mego
zabić, to kiedykolwiek i człowieka zabiję. Na *katorżnika* widać wyjdę i po wszystkim.

I znowu zaczął, na ziemi wciąż siedząc, płakać i sztywniejące zwłoki Żużuka poca-
łunkami okrywać. Wtedy ona siadła przy nim i, jak dawniej bywało, nie szczędziła mu
pociech i pieśzcot. Znowu nastawiła samowar i poić go próbowała herbatą, której jednak
pić on nie chciał. I spać tej nocy nie mógł; jęczał za piecem i wciąż coś o Żużuku mruczał,
łkając czasem. Strasznie żałował psa; straszniej jeszcze bolało go zerwanie z Chlewińskim.
Przez całe trzy dni zza pieca nie wylaził, wstydząc się, smucąc i o własnej przyszłości zu-
pełnie wątpiąc. Na czwarty dzień Romanowa do kościoła z nim poszedłszy, znowu go
do spowiedzi doprowadziła i znowu ku ludziom, względem których szczególne miała
zaufanie, podchodziła z tajemniczym uśmiechem na ustach, radośnie szepcząc:

— Teraz to już przestanie, jak Boga kocham, przestanie! Żeby tylko jakim sposobem
Chlewińskiego przeprosić... to już wszystko dobrze będzie. Już ja nie taka, żebym jemu
łatwo uwierzyła, ale jak Bóg jest na niebie, tak teraz to już przestanie!

Teraz przecież miała ona dopiero wstąpić na szczyt swej Golgoty. Zamordowanie psa
zaciężyło Michałkowi na sumieniu i otworzyło w piersi jego najzjadliwszego robaka —
zwątpienie o samym sobie. Ile zaś razy przechodził koło kościelnego muru, przy któ-
rym tak ciężko obraził kochaną dziewczynę, tyle razy brała go nieprzewyciężona prawie
chęć zawrócenia się ku szynkowi Szlomy. Chęć tę przewyciężał wprawdzie czasem, ale
na krótko. Zima była; roboty żadnej nie miał. I przyjemności żadnej nie miał, bo jedyna
uczciwa i porządnie żyjąca rodzina, która go dotąd chętnie w domu swym przyjmowała,
drzwi swe przed nim zamknęła. Nie miał też już swej dawnej fantazy i pewności siebie.
Spostrzegać zaczął, że dobrze prowadzący się robotnicy unikali go, a majstrowie mular-
scy, mijając go na ulicy, pogardliwie albo szydersko na niego patrzali. Ambicyi miał dużo,
i te oznaki ludzkiego lekceważenia bodły go okrutnie. Zwątpił całkiem o sobie, zanie-
dbał się; trzeźwym nawet będąc, chodził w surducie poplamionym i wykrzywionych albo
podartych bótach. Trzeźwym będąc, o Chlewińskich nigdy przed nikim, nawet przed
matką, najmniejszym słowem nie wspominał, i gdy kogokolwiek z rodziny tej na uli-
cy spotkał, przechodził prędko ze spuszczonei oczyma. Zośkę tylko starał się widywać
z daleka i tak, aby ona go nie spostrzegła. Ujrzawszy ją, gdy biegła ulicą, albo w kłęzącej
postawie modliła się w kościele, wpatrywał się w nią, jak w tęczę, rozkochanemi i żało-
snemi oczyma. Skoro jednak przypuszczał, że spostrzec go ona może, uciekał i krył się
w bramę jakiego domu lub w ciemny kąt kościoła. Zato, ilekroć był pijany, o niczem

więcej, tylko o niej. Na ulicach, w szynkach, w kuchni matczynej wykrzykiwał jej imię, oświadczając miłość swoją dla niej i odgrażając się, że jej nikomu nie da, że ją sobie zabierze, ojca jej zabije a ją zabierze, ją zabije a nikomu innemu jej nie da. Zdawać się mogło, że wraz z wódką pił myśl o tej dziewczynie i żal nad jej utratą, i dopóki mu trunek z głowy nie wywietrzył, myśli tej i tego żalu, wyrażającego się w formie oświadczeń i pogroźek, pozbyć się nie mógł.

Teraz zresztą rzadko już głowa jego wolną bywała od dymu gorzałki. Gdy pieniądze zarobionych przez lato nie stało, żądał on od matki, aby mu swoje oddawała. Raz, spełniając pogroźkę dawną, siekierą rozbił jej kufer; innym razem, usiłującą uspokoić go, porwał za włosy, i plecy jej obił pięścią. Gdy bił ją, ona ani nie jęczała, ani broniła się, tylko w zwykły sobie przeciągły i błagalny sposób powtarzała: Cicho! cicho! cicho! Pragnęła, aby to przynajmniej, że on ją bił, w tajemnicy przed ludźmi pozostało. Nazajutrz lub w parę dni potem, rozrzewniona i już uszczęśliwioną, widziała go leżącego u nóg swoich. Wytrzeźwiwszy się, przypominał sobie czyn swój, do nóg matki jak długi padał, stopy jej i kolana całując, i wciąż powtarzając, że teraz to już z pewnością amen, i nic z niego nie będzie. Ona go wtedy w ramiona brała, jak dziecko kołysała i pocieszała, herbatą znowu poila i upewniała, że Pan Bóg zlituje się... On już w to nie wierzył; w możliwość zwalczania dyabła, który go opętał, nie wierzył. Całując i przepraszając matkę, płakał jak bóbr, a potem na dni kilka za piec wlaził. Wylazłszy zza pieca, czas jakiś wałęsał się po mieście lub przesiadywał w kuchni, ze skurczoną postawą i posępną twarzą... potem znikał znowu, a powracając, żądał od matki pieniędzy... pieniędzy...

Zkąd ona miała brać tyle pieniędzy, ile on żądał ich teraz od niej? Przeciagle i błagalnie szepcząc: cicho! cicho, synku! cicho już! cicho! oddawała mu wszystko, co zarabiała i cokolwiek od kogo kiedy otrzymywała, tak, że przy końcu zimy, zamiast trzewików, których nie miała już za co kupić, nosiła podarte kalosze, a na łóżku jej, zamiast dostatniej pościeli, która niedawno jeszcze piętrzyła się na niem, pozostał tylko wór wypchany sianem, i za koldrę służąca dziurawa chustka. Wyglądała teraz strasznie. Wychudła bardzo i zarazem ociążała i jakby zgrubiała, podobną stała się do niezgrabnego i sennie poruszającego się słupa. Rzadko czesane i do reszty siwiejące włosy zpod spłowiałej chustki bezładnie spadały na pomarszczone czoło, zapadłe policzki i naga, koścista szyję. Z tą postacią i z temi włosami, w obłocnej u dołu spodnicy, podartych swych kaloszach i kaftanie, wiszącym na niej jakby na słupie, miała sama pozór pijaczki. Wyglądałaby też na szkaradną czarownicę, gdyby nie te jej oczy, zpod brwi zsuniętych spoglądające na świat z bezdenną żalnością, i nie to od chwili do chwili łamanie rąk, tak silne, że aż stawy w nich trzeszczały, i w którym czuć było mocowanie się z wewnętrznymi krzykami rozpaczcy. Nietylko przecież nie wydawała krzyków rozpaczcy, ale nigdy, przed nikim słowem najmniejszym nie poskarżyła się na syna. Nie broniła go już wprawdzie wymyślanemi historyjami o pałacach i familiach, ale też i nie obwiniała. Jak grób milczała.

Nadeszła wiosna. Po kilkodzielnym siedzeniu za piecem, Michałek rzekł do matki:

— Pójdę starać się o robotę.

— Idź, synku, idź i niech Bóg Przenajświętszy dopomoże.

Nie miała już za co sprawić mu nowego odzienia i z żalnością, zmieszaną ze wstydem, ściagała go wzrokiem, gdy wychodził na ulicę, łachmanami prawie okryty. Surdut miał na sobie poplamiony, czapkę brudną i bóty tak podarte, że ledwie mu z nóg nie spadały. Poszedł, z dwoma majstrami się widział i roboty nie dostał. Jeden z majstrów przyjąc go nie chciał, utrzymując, że ma już dostateczną liczbę robotników, z drugim pokłócił się, bo mu się zdało, że pogardliwie z nim się obszedł. Nazajutrz wywłócił się znowu na miasto, mówiąc, że do trzeciego jeszcze majstra pójdzie. Ale ona wiedziała dobrze, że i ten trzeci na robotę go nie weźmie. Przez dzień cały zamyślała się nad czemś głęboko, i widać było, że układała w głowie swej jakieś plany. Obiad zgotowała fatalnie, zamiast soli sypała do potraw cukier i odwrotnie. Gdzie jej tam było teraz myśleć o smaku zupy i sosów! Dziwiła się nawet temu, jak ludzie mogą dbać o takie rzeczy. Sama nic przez dzień cały w usta nie wzięła, i tylko z twarzą okrytą czerwonemi plamami myślała nad czemś i coś w głowie swojej układała. O zmroku, zarzuciła chustkę na głowę i na miasto wybiegła. Skierowała się ku domostwu Chlewińskich, ale, gdy przed bramą jego stanęła, nogi jej tak zdrząły, że aż na drewnianej ławeczce, dla nocnego stróża tam umieszczonej, usiąść musiała. Posiedziała chwilę, poczem wstała i na dziedziniec weszła. W głębi dziedzińca stał

niski, ale dość duży dom drewniany, który Chlewińscy wynajmowali lokatorom różnym, spory dochód z tego mając. Sami mieszkali w niewielkiej oficynie, naprzeciw której stały drwalnie i chlewki, z przyczepioną do nich drugą i także komuś wynajętą oficynką. Kilka tedy rodzin mieszkało na tym dziedzińcu, porządnym parkanem i ładnie malowaną bramą oddzielnym od ulicy miasta, nienależącej wprawdzie do głównych, ale dość ludnej i często turkoczącej kołami przejeżdżających dorożek. W bawialnym pokoju Chlewińskich, przyozdobionym kanapą, gięte krzeselka stały rzędem pod jedną ścianą, pod drugą politerowaną komodę okrywały różne tanie graciki, wśród których sterczały dwie świece stearynowe w posrebrzanych lichtarzach. Muslinowe firanki wisiały u dwu niewielkich okien, zastawionych zielonemi roślinami, papierowe obicie w czerwone centki okrywało ściany, podłoga była pomalowana na czerwono i bardzo czysta. Przed kanapą, dokoła stołu, na którym kipiał samowar i paliła się lampa, cała rodzina majstra piła herbatę, jedząc przytem razowy chleb z masłem i wędzoną kielbasę. Gospodarz domu, bez surduta, w kamizelce i rękawach kolorowej koszuli, siedział rozparty na kanapie, majstrowa stała przy samowarze, jedna ze starszych dziewczyn poila herbatą najmłodszego braciszka, druga zatapiała się w jakiejś szydełkowej robocie, chłopcy w gimnazjalnych mundurkach siedzieli z obu stron ojca, pożerając ogromne porcje jedzenia, Zośka trzymała na kolanach małą siostrzyczkę, która zkolei miała na swoich kolanach tłustego kota. Dostatnio więc, spokojnie i ludno było w tej skromniutkiej bawialni i razem jadalni; przez okna, niezastłonięte jeszcze okienicami, ukazywał się dziedziniec, zieleniejący już marcową trawą i oblany światłem wschodzącego księżycza.

Jednak oprócz osób, licznem kołem otaczających stół z samowarem i lampą, była w pokoju tym jedna jeszcze kobieta, cień raczej kobiety, pokorny, cichy, zdala od światła lampy u pieca stojący. Dawniej, gdy wchodziła tu o tej porze, pani majstrowa witała ją uprzejmem kiwaniem głowy, pan majster zaczynał grubo trochę, ale przyjaźnie z niej żartować, panienki szczebiotały jak sikorki, a Zośka obejmowała ją nawet za szyję i w oba policzki ucałowywała. Zapraszano ją do stołu i częstowano herbatą, a ona, dumna i wdzięczna, zaczynała gadać, gadać i śmiać się z całego swego uszczęśliwionego serca. Teraz zaledwie kilka kroków od drzwi postąpić ośmieliła się i nikt ją do zbliżenia się nie zapraszał. Stała przy piecu i zcicha przemówiła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wszyscy odpowiedzieli: na wieki! i zdaleka, obojętnie głowami kiwnęli. Chlewiński na kanapie rozpostarty, zachmurzył się i zapytał:

— A czego chcecie?

Zcicha, pokornym i błagalnym głosem prośbę swą wypowiedziała i choć majster z niechętnie wydętych ust wnet wyrzucił porywczą, odmowną odpowiedź, nie odchodziła. Stała jak w ziemię wryta, oczyma dokoła pokoju wodząc. Pokój ten budził w niej dziś większe niż kiedykolwiek zachwycenie. — Ot dostatek, myślała, ot spokojność święta, ot raj! A ja myślała, że i on kiedyś taki dom i taki dostatek, i takie wszystko będzie miał.

Usta jej wykrzywiły się jakby do płaczu, cicho załamała ręce i powoli, z trudnością mówić znowu zaczęła:

— Panie! Niech pan zlituje się! jemu nikt roboty nie da!...

— A niech go dyabli wezmą! — sarknął majster — co mnie do tego? ja go znać nie chcę!

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Wszystkim snać obecność Romanowej przykrość sprawiała; nikt przecież zgnębionej kobiety obrażać nie chciał. Ona, stojąc niewzruszenie, znowu oczyma po pokoju wodziła.

— Bożeż mój! — myślała — jednym ludziom na świecie tak, a drugim inaczej... Mnie zdawało się, że i ja kiedyś z nim razem w takim domu żyć będę...

I znowu przemówiła:

— Panie! żeby jego ojciec z grobu teraz wstał, położyłby się nazad do trumny.

Nikt nie odpowiedział. Majster niemilosierdzie targal swój srebrny łańcuch, majstrowa głośno sapała, jedna z panienek, podniósłszy twarz znad roboty, litosny wzrok na kobietę pod piecem stojącą zwróciła, gimnazyści otwierali szeroko okrągłe swe oczy, Zośka pochyliła nisko głowę i czoło ukryła w puszystej sierści kota. Kobieta przemówiła znowu:

— Panie! czyżto już tak wszystko skończy się... On pić przestanie... jak Bóg jest na niebie, przestanie. Już ja nie taka, żebym jemu łatwo wierzyła, a wiem, że teraz, to już przestanie. Żeby tylko on u pana robotę dostał! On jednego pana kocha i wstydzi się... Taki robotnik... Niech pan zlituje się...

Taki robotnik! Była to słaba strona Chlewińskiego. Rzeczywiście, taki robotnik! Mocniej jeszcze targnął łańcuch swój, czuprynę dłonią rozczochrał. Chlewińska półgłosem do męża przemówiła:

— Żeby tylko do Zośki pretensji nie miał... to możeby można było...

Ale w tej chwili Zośka z kolan swych siostrzyczkę wraz z kotem zsunęła, z krzesła zerwała się i z twarzą zalaną łzami przed ojcem na klęczki upadła. Ręce jego i kolana całując, głosem od płaczu przerywanym mówiła:

— Tatku! niech tatko zlituje się! On może poprawi się... tatku, to okropność, żeby on tak już przepadł... On pewno, tatku, pewno poprawi się... Niech tatko pozwoli jemu przyjść do nas... niech tatko spróbuje...

Aż zanosila się dziewczyna od płaczu, a była to ulubienica całej rodziny. Na lzy jej nikt tu obojętnie patrzeć nie mógł. Starsze siostry popodnosiły głowy i na ojca patrzyły, majstrowa jednego z gimnazystów, ulubienca ojcowskiego, w ramię pchnęła.

— Nuż, Ignas, prosz ojc!... — a sama nalewała szklanke herbaty, z zamiarem podania jej tej nieszczęsnej... tej matce...

— Ej, tatku! — zawołał srebrnym głosem dwunastoletni uczeń — czy to tatko Pan Bóg, żeby mógł wiedzieć, czy kto poprawi się, czy nie poprawi! A jak przez tatke człowiek przepadnie, to co będzie? A? I Zośka...

Otóżto. Najważniejszą rzeczą było to, że Zośka płakała i że łajdaczyna ten zdatnym był do roboty, jak sam dyabeł. Ignas miał rację. Niedarmo był on pierwszym uczniem w swej klasie. Czyto kto Panem Bogiem jest, aby mógł wiedzieć, co z kim jeszcze będzie!

Podniósł pan majster głowę, córkę do piersi przygarnął i na kobietę, stojącą u pieca, daleko już laskawszem okiem patrzył. Namyslał się jeszcze, nie mówił nic, ale po sposobie, w jaki poruszał wąsami, poznać było można, że rozrzuwionym czuł się.

Nagle wszyscy podskoczyli na krzesłach swych, majstrowa krzyknęła: Jezus Marya! a majster: co to jest! Zośka zerwała się na równe nogi z twarzą bladą jak płótno, a stojąca u pieca kobieta drgnęła od stóp do głowy, rękoma chwyciła się za głowę i z pokoju wypadła. Przyczyną tego powszechnego przestraszenia było gwałtowne zadzwonienie szyby, rozbitej kamieniem, który na środku pokoju upadł. Zarazem gruby, ochryply głos, na dziedzińcu krzyżeć zaczął:

— Zośkę mi dajcie! czy słyszycie, wy...

I z ust człowieka w obdarłem odzieniu, zataczającego się po dziedzińcu, posypał się na majstra i jego rodzinę grad obelżywych, karczemnych wyrazów.

— Kiedy ja ją kocham, — krzyżał — to wy jej przede mną chować nie śmiejc! Ja taki sobie pan, jak i drugi! Dziewczynę wezmę i po wszystkim, a kto mnie sprzeciwiac się będzie, *ubije*, ot tak!

Przy ostatnich wyrazach drugi kamień w okno uderzył i druga szyba rozbiła się z brzękiem.

— Zośka! — krzyżał pijak — chodź tu do mnie! Ja twój kochanek, a ty moja kochanka! Jak nie przyjdiesz, wszystkie okna powybijam, drzwi wyłamie, ojca i matkę twoją *ubije*... a ciebie wezmę!

I znowu szyba brzęknęła pod uderzeniem kamienia.

W domu majstra zrobił się popłoch nieopisany.

Zośkę siostry w najodleglejszym od dziedzińca pokoiku chowały, sobą ją zasłaniając, służąca i dzieci płakały, majster z żelaznym kruczkiem do rozgrzebywania węgla ku drzwiom się porywał, wstrzymywany przez sapiącą strasznie i rozszlochana żonę.

— Zabije cię kamieniem, albo ty go zabijesz tem żelazem i kryminał będzie! — obejmując męża ramionami, krzyżała.

Ignas wyskoczył z domu przez okno do ogrodu i pobiegł po policyantów.

Na dziedzińcu zaś zgromadzał się coraz większy tłum ludzi. Z głównego domu, z oficyny, z sąsiednich dziedzińców, hałasem i brzękiem tłózonego szkła zwabieni, zbiegali się ludzie różnych poci, stanów i wieków. Przechodnie uliczni stawali przed otwartą bramą i przypatrywali się scenie, której szczegóły każdy wyraźnie oświecał blask księżyca. Wysoki

człowiek, w podartej odzieży i bez czapki, z rozczochraną gęstwiną czarnych włosów, zataczał się tam, krzycząc, łając, o dziewczynę jakąś wciąż upominając się i od czasu do czasu rzucając w okna kamienie, z kieszeni surduta wyjmowane. Dwaj policyjanci ze szpadami u boków ujął go usiłowali, ale on opierał się im z siłą niepospolitą. Odpierał ich łokciami i oślepiał uderzeniami w twarz, a nogą odpychał kobietę, włócząc się u stóp jego. Była to Romanowa, która z krzykiem okropnym do stóp mu upadła.

— Michałku! synku! zlituj się nade mną nieszczęśliwą! idź ztąd, idź, idź ztąd!

Kolana jego obejmowała. On zataczał się w różne strony dziedzińca, a ona za nim na klęczkach czołgała się, za kolana go chwytając, ramiona ku niemu podnosząc, na Boga Przenajświętszego i na prochy ojca go zaklinając, aby krzyczeć i bić szyby przestał, i szedł ztąd sobie, szedł ztąd sobie... gdziekolwiek, już gdziekolwiek, byle ztąd!... Potem sił jej już do mówienia zabrakło; pełznąć za nim i wciąż kolana jego obejmować usiłując, szeptała tylko, a raczej bez tchu syczała:

— Cicho, cicho, cicho! o Boże mój, Boże, cicho, synku, oj cicho!

Jeden z policyjantów, pięścią pijaka na ziemię obalony, z trudnością dźwigał się z ziemi, gdy nagle koła powozu zatrzymały się przed bramą, ludzie rozstąpili się, na dziedzińcu śpiesznie choć z powagą wszedł człowiek w wojskowym ubraniu.

— Policmajster! pan policmajster! — zaszemrano w tłumie.

Przejeżdżający ulicą, zobaczył tłum, usłyszał krzyki i jęki, wyskoczył z powozu, a teraz, ujrawszy w oficynie, którą zbliżka mijał, potłózione szyby, podwładnych swych, borykających się z człowiekiem jakimś, i jakąś kobietę z jękami na klęczkach pełzającą po dziedzińcu, donośnym głosem, na pijaka wskazując, zawołał:

— Związać!

— Co! — rozmachując rękoma i cofając się nieco, krzyknął pijak — mnie związać! nie doczekanie twoje! ty...

Romanowa zerwała się z ziemi i ramionami otoczyć go usiłowała.

— Synku, nie sprzeciwiaj się! — jęczała — synku, na rany Chrystusa Pana, milcz! wszak to generał, czy słyszysz? sam pan generał!

Byłoto dolanie oliwy do ognia. Zawsze popijanemu odgrażał się, że gdyby sam generał zaszedł mu drogę, powiedziałby mu to i owo. Teraz w dodatku pewnym był, że ten generał przyszedł po jego Zośkę.

— *Paszol procz!* — krzyknął i rękę z kieszeni wyjął. Jeden jeszcze kamień świsnął w powietrzu, ale tym razem ugodził nie w szybę żadną, tylko w ramię wysokiego i urzędową czynność swą pełniącego urzędnika. W parę minut potem skrępowano mu ręce i cała gromada *dziesiątników* wiodła go do policyjnego biura, a wkrótce powozem policmajstra, w celu tym wysłanym, nadjeżdżał sędzia śledczy.

Godzina nie upłynęła, księżyc oświecał jeszcze ulice miasta, gdy skrępowanego więźnia prowadzono ku miejscowej turmie. Przy dokonywanem w biurze policyjnym badaniu zrozumiał on co uczynił, co się z nim stało, co go czekało i wytrzeźwiał całkiem. Przed wejściem w drzwi więzienne obejrzał się i długim, żalosem spojrzeniem ogarnął kobietę, która z chustką zsuniętą na plecy i głową odkrytą, jak grób milcząca, szła przez całe miasto za gromadą wiodących go policyjantów. Popatrzał na nią, pokiwał głową i, łagodny już jak baranek, wszedł do więzienia, a ona na ciężkie i żelastwem skrzypiące drzwi, które zamknęły się za nim, rzuciła się z takim rykiem płaczu, że nawet pozostali na ulicy policyjanci, litością zdjęci, długo odpychać ją od nich nie śmieli.

W kilka miesięcy potem, na mocy odnośnych artykułów prawa, za czynną obelgę wyrządzoną wysokiemu urzędnikowi w czasie pełnienia przezeń urzędowych czynności, Michałka wysłano do rot aresztanckich na lat pięć.

Jednak i po upływie tych lat pięciu nie wrócił on już do Ongrodu. Co się z nim stało? Niewiedomo. Zjadł go zapewne całkiem wilk miejski.

Romanową bardzo nieprędko potem raz jeszcze widziałam. Siedziała w kruchcie kościelnej, na ceglanej podłodze, z czerwonymi piętami, wyglądającymi ze szmat, którymi owinięte były jej nogi, z grubym kijem, u nóg leżącym, w łachmanach. Zupełnie podobną była do innych starych żebraczek, które tam zazwyczaj przesiadywały i tem tylko wyróżniała się pomiędzy nimi, że oczy jej zza opadających na nie pasem białych włosów,

wyglądały jak dwie krwawiące się rany. Wypalił je ogień kuchenny i wygryzły łyzy. Zresztą w kruchcie kościelnej mróz ją piekł, wilgoć dławiała, koleżanki, żebraczki pięściami w boki, a kijami w pokaleczone nogi ją uderzały...

Hej! hej! jakże daleko za nią pozostała ta droga pocztowa, po której w dniu zimowe jeździła, gdy słońce świeciło, pole było białe, niebo błękitne, dzwonek dzwonił, konie po śniegu biegły czach-czach, czach czach, a mąż, jak młody dąb na saniach stojący, zwracał się ku niej z troskliwym pytaniem: „Ewka! czy ci nie zimno?!”

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/romanowa>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Panna Antonina, Dobra Pani, Romanowa, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1888.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0646-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).